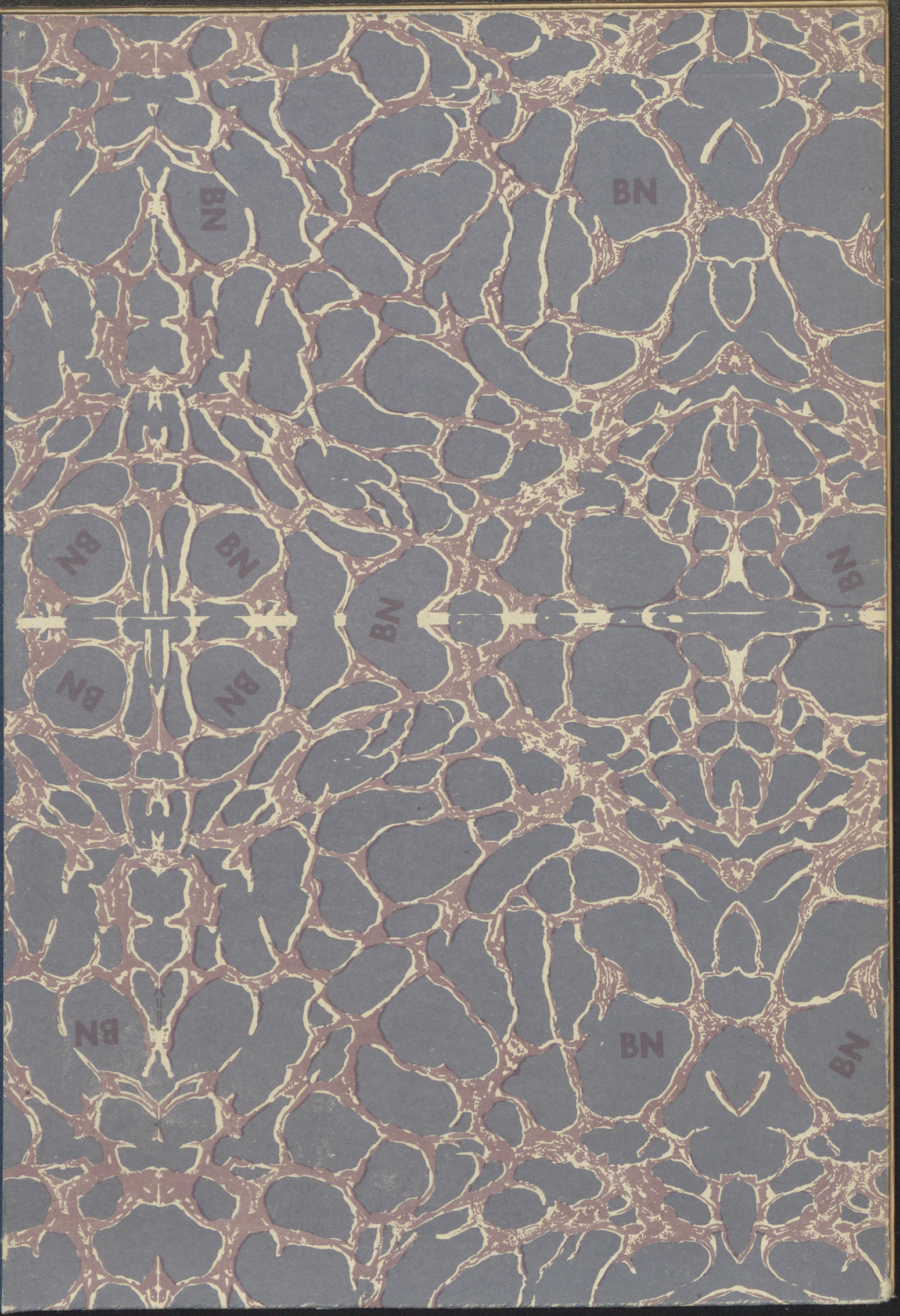


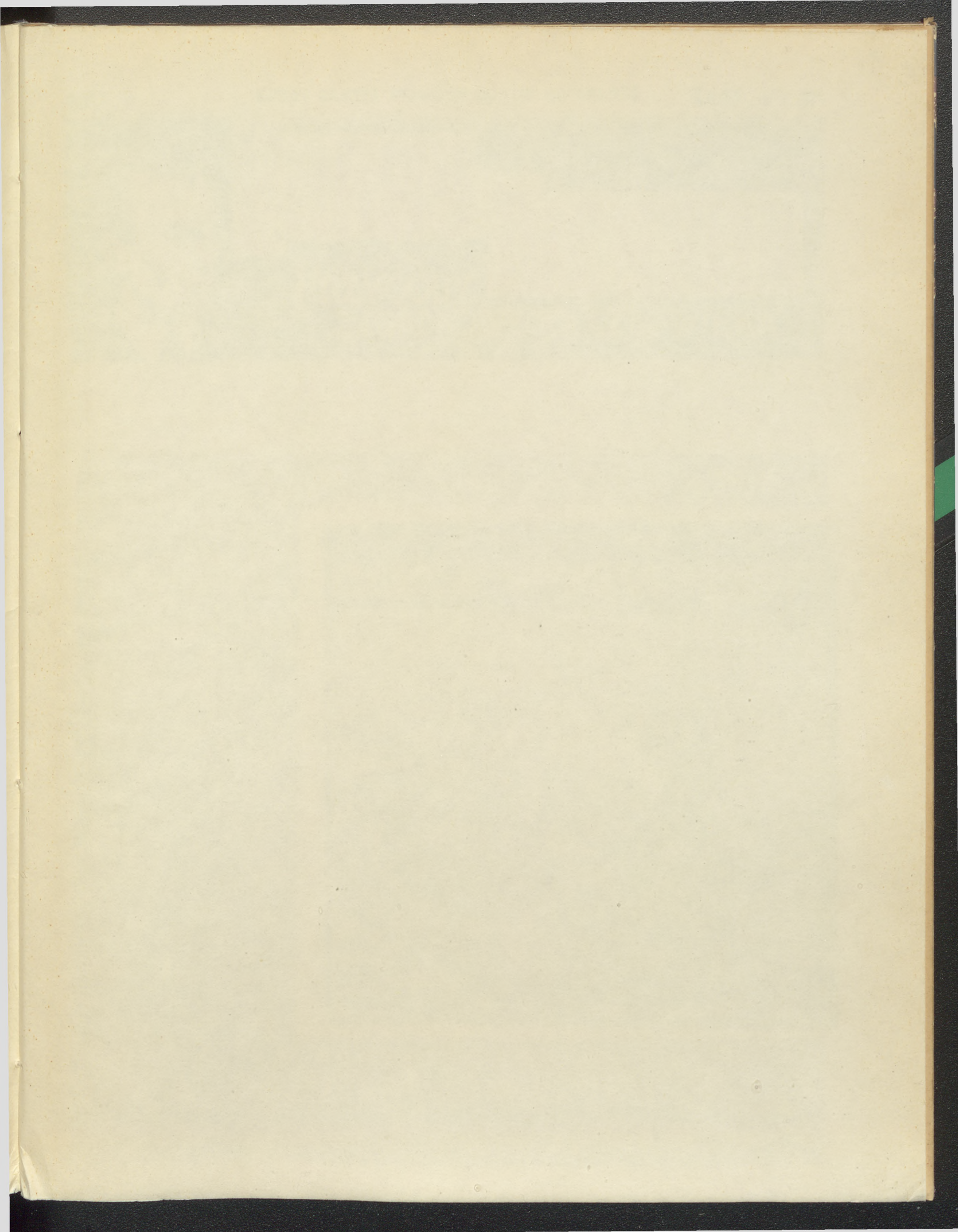
20

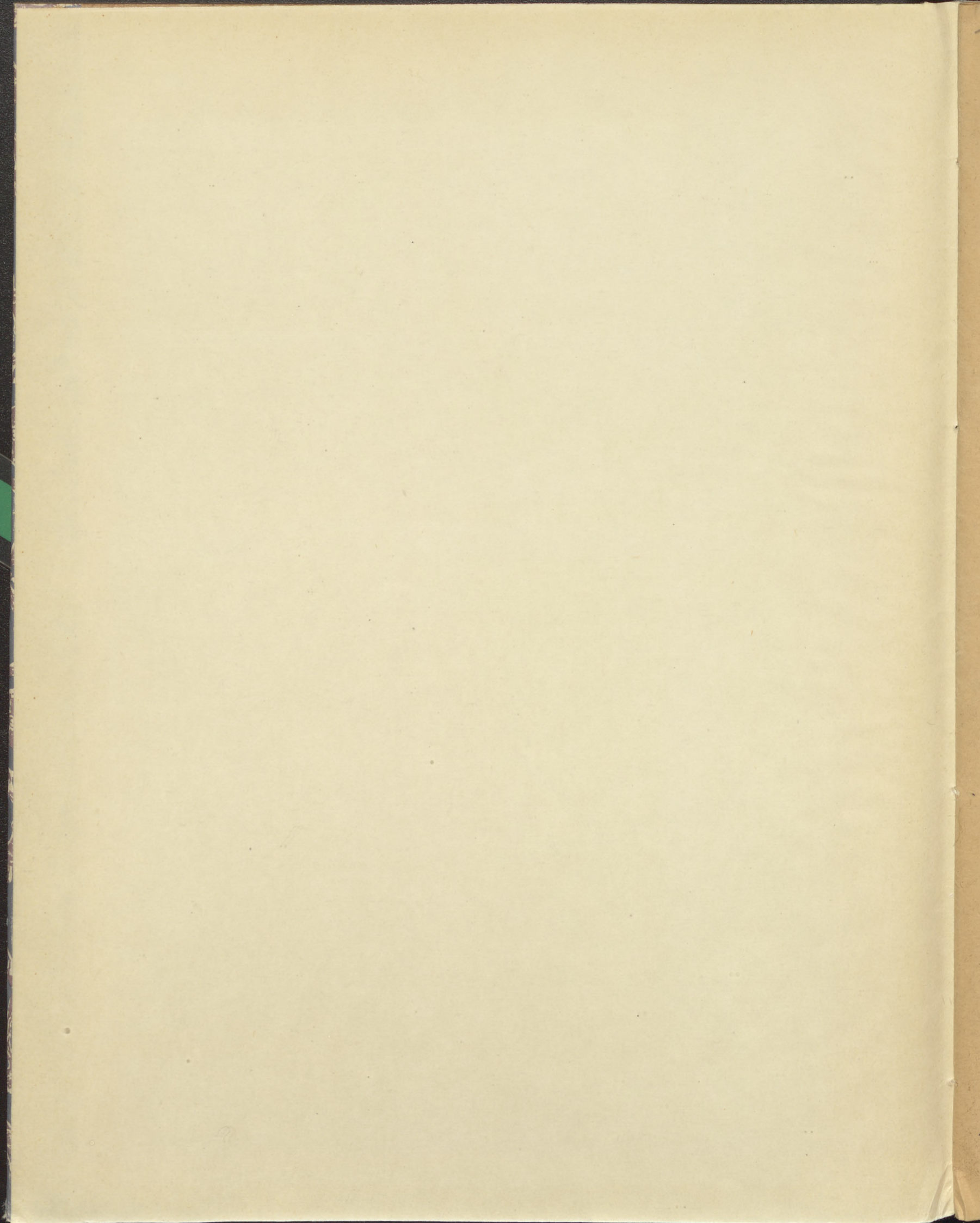
623405





This page is blank and contains no text or other markings.





Nr 20.

KAZDY ZESZYT STANOWI ODDZIELNĄ CAŁOŚĆ

Cena 10 gr.



HARRY DICKSON

PRZYGODY
ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

POSTRACH LONDYNU





HARRY DICKSON

PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

POSTRACH LONDYNU

Mecz bokserski

Pewnego lipcowego ranka ulica West Ferry-Road położona obok doków portowych w zachodniej części Londynu była niezwykle ożywiona. Tłum ludzi ze współczuciem przyglądał się leżącemu na ziemi mężczyźnie.

Był to młody, zaledwie trzydziestoletni człowiek, brudny i obdarty, z pobladłą twarzą i tępych spojrzeniem. Miał na sobie tylko podarte spodnie.

— To pewnie jakiś pijak, któremu zabrano ubranie za wypitą wódkę — odezwał się jakiś mężczyzna, którego wygląd świadczył o tym, że i jemu mogła się zdarzyć podobna przygoda.

— Wygląda jak małpa, która uciekła ze zwierzynicy — rzucił z kolei młody piekarczyk, dźwigający na głowie wielki kosz bułek.

— Nie gadajcie głupstw, — przerwał jakiś porządnie ubrany mężczyzna, wyglądający na urzędnika, — czy nie widzicie, że to wariat?...

— Ma pan rację, sir, — krzyknęła na to korpulentna jejmość w niebieskim fartuchu. — Ten biedak jest niespełna rozumu. Ja pierwsza znalazłam go tutaj i mogę przysiąc, że nie wypił on ani jednej kropli alkoholu.

Rozmowną kobietę zarzucono gradem pytań.

— Stałam akurat na progu mojego sklepu — ciągnęła, wskazując palcem na sąsiedni dom — i porządkowałam wystawę. Nagle usłyszałam za sobą hałas tak, jakby biegł szybko pies. Odwróciłam się prędko, aby go odpedzić i... przeraziłam się. Po ziemi pełzał na czworakach jakiś człowiek i nachylał się nad rynsztokiem jakby szukał tam pożywienia. Zrozumiałam, że biedak jest bardzo głodny, to też wyniosłam mu ze sklepu kubek mleka i kromkę chleba. Nie macie pojęcia jak żarłocznie rzucił się na to. Kiedy podniósł się, zapytałam go, skąd się wziął. W odpowiedzi usłyszałam jednak jakieś nieartykułowane dźwięki.

— Uwaga „głina“ idzie! — krzyknął nagle jakiś wyrostek. Usunąć się...

— Hallo! Co się tam stało — zapytał policjant, zbliżając się do zbiegowiska. — Pewnie znów jakiś pijak!... Przechodzić, przechodzić! Nie wolno tamować ruchu! Do licha, co to takiego? Ten włóczęga jest prawie nagi!...

Mówiąc to, począł torować sobie drogę do leżącego, nachylił się nad nim i potrząsnął go.

— Ruszaj się, pijanico! Słyszysz?...

— Przepraszam bardzo, — wtrącił się urzędniczyna — ten biedak nie jest pijany, Mam wrażenie że to człowiek umysłowo chory, który uciekł z domu wariatów.

— Tam do licha! Za kogo pan mnie bierze? Sądzi pan, że nie potrafię odróżnić pijaka od szalonego? Dziękuję za dobre rady! Przechodzić... przechodzić...

— A ja powtarzam, że to wariat!

Policjant, czerwony ze złości, zamierzał już wrzasnąć, gdy nagle zjawił się przed nim wysoki i szczupły mężczyzna o rysach twarzy znamionujących energię.

— Tak szanowny „głino“ — rzekł, — jeżeli nie zechcesz łagodniej się zachowywać w stosunku do tego nieszczęśliwca, to zapoznasz się bliżej z moimi pięściami!

— No, no, zobaczymy! — zawołał policjant i stanął w pozycji do boksów.

— Odsunąć się! Odsunąć! — krzyczano w tłumie. Będą się boksować.

Istotnie doszło do krótkiej walki, której epilog okazał się dla policjanta żalospisny. Młody mężczyzna, ubrany w zwykłą bluzę robotniczą, potężnym ciosem zwałił go z nóg.

Na pomoc policjantowi nadbiegło kilku jego kolegów. Pobity podniósł się z trudem jęcząc i złorzecząc. Ręką dał znak kolegom, aby zaarrestowali robotnika.

— Hola, panowie! — krzyknął na to młody człowiek. — Nie wolno wam bez powodu więzić wolnego obywatela Anglii. Moglibyście tego poźniej pożałować! Jeżeli chcecie mnie zatrzymać proszę bardzo! Ale tego biedaka zabierzcie razem ze mną i odprowadźcie na posterunek policji.

Policjanci otoczyli robotnika... ale w momencie, kiedy jeden z nich chciał położyć rękę na jego ramieniu, rozsunał on marynarkę...

Policjanci zmieszali się i cofnęli z szacunkiem. Zasalutowali pospiesznie i szeptem niemal prosili o przebaczenie.

— Nie wiedzieliśmy... Jeżeli tak jest.. to przepraszamy bardzo... nie nasza wina.

Tę niezwykłą, zdawałoby się zmianę frontu spowodował mały znaczek metalowy wpięty do flanelowej koszuli rzekomego robotnika.

— Proszę odprowadzić tego nieszczęśliwego na posterunek na Millwall-Street i oddać go w ręce kapitana Gordona. Jednocześnie proszę mu oznajmić, że Nr. 10001 przybędzie za godzinę...

Policjanci podnieśli natychmiast leżącego z jaknajwiększą troskliwością. Na miejscu pozostał tylko jeden z nich aby rozpedzić zbiegowisko. Tymczasem rzekomy robotnik zniknął w jednej z przyległych ulic.

Ciekawi natychmiast otoczyli policjanta.

— Czy to był któryś z waszych? — zapytała właścicielka owocarni. — Pewnie „tajny“, nieprawda?

— Ale wysokiej rangi — dodał urzędnik.

Policjant mrugnął porozumiewawczo i szepnął z tajemniczym uśmiechem.

— To był ktoś na bardzo wysokim stanowisku... wyższym od samego szefa policji... ktoś, kto jest oznaczony Nr. 10001 na specjalnej liście... Jednym słowem sam... Harry Dickson.

Jedenastu wariatów

— Dzieńdobry, kapitanie Gordon sądzę, że pan prędzej mnie pozna, niż pańscy ludzie. Nic dziwnego, że omal mnie nie aresztowali...

Oficer policji uprzejmym gestem wskazał gościowi fotel.

— Cieszę się bardzo z pana odwiedzin. Mr. Dickson. Przed chwilą zaanonsowano mi pana przybycie. Czy przybywa pan w sprawie tego dzikusa którego znaleźliśmy dzisiaj na West-Ferry-Road?

— Zgadł pan, kapitanie Gordon! Ten człowiek interesuje mnie niezmiernie... Nie wiem, czy zwrócił pan uwagę że to już jedenasty z rzędu wypadek w okresie zaledwie kilku miesięcy.

— Na Jowisza! Zdaje się że pan ma rację, Mr. Dickson. Zaraz będziemy mogli to sprawdzić.

— Brown, proszę mi natychmiast przynieść komplet wszystkich dzienników od miesiąca kwietnia.

Po chwili Brown zjawił się z powrotem i ułożył na biurku swego przełożonego olbrzymi stos gazet.

Harry Dickson przyglądał się ze spokojem zajęciu kolegi.

Po kilku sekundach kapitan Gordon zawołał:

— Znalazłem! „19 maja roku bieżącego wydo- byto z kanału Grand-Surrey młodą, zaledwie osiemnastoletnią dziewczynę prawie nagą. Krzy- czała opierała się i chciała się rzucić z powrotem do wody. Zatrzymano ją i zaprowadzono na po- licję, gdzie została zbadana przez urzędowego le- karza. Skonstatował on u pacjentki pomieszanie zmysłów. Odwieziono ją do miejskiego szpitala dla umysłowo chorych w Colney-Hatch“.

— Proszę czytać dalej — rzekł detektyw.

— „24 czerwca zaaresztowano w East-India- Doks-Roda mężczyznę w wieku lat pięćdziesięciu. Był on kompletnie nagi i przypominał dzikie zwie- rze. Po stwierdzeniu jego stanu psychicznego od- wieziono go do szpitala „Bethlem“. „29 czerwca policja zatrzymała chłopca w oplakany stanie“...

Podobne wypadki zdarzają się w dalszym cią- gu w miesiącu lipcu, przy czym raz wchodzi w grę kobieta, raz mężczyzna.

— Czy u wszystkich stwierdza się pomieszanie zmysłów? — zapytał Harry Dickson.

— Tak jest. U wszystkich.

— I wszyscy biedacy walęszą się prawie nago po Londynie?

— To stwierdzają wszystkie prawie raporty.

— A teraz proszę być tak uprzejmym. kapita- nie Gordon, i powiedzieć mi, czy to prawda, że te wszystkie ofiary znajduje się w okolicy Tamizy, od strony Greenwich, albo West-India-Docks?

— Tak jest, Mr. Dickson. Ani jeden protokół nie wspomina o aresztowaniu w City, ani w za- chodniej stronie miasta. Wszystkie wypadki mają miejsce nad brzegiem Tamizy.

— A czy mogę prosić aby przyprowadzono tego biedaka, którego dziś znaleziono? Chciałbym go obejrzeć z bliska.

Gordon wydał odpowiednie polecenie i po chwili dwaj policjanci sprowadzili nieszczęśliwego. Zdradzał on zupełną obojętność na wszystko, co się dookoła niego działo i pozwalał się prowadzić bez najmniejszego oporu.

— Czy nie byłoby warto poprosić lekarza?

— W tej chwili go wezwę — zgodził się Gor- don podnosząc słuchawkę telefoniczną.

— Czy to pan doktorze? — mówił kapitan Gordon. Czy nie zechciałby pan przyjść do mnie za chwilę?

— Panowie pozwolą, że ich przedstawię. — rzekł urzędnik. — kiedy w dwie minuty później wszedł do biura wysoki, jasnowłosy młodzieniec. — Doktor Warred nasz urzędowy lekarz — Mr. Harry Dickson komentarze zbyteczne.

— Największy detektyw świata — zawołał dr. Warred, wyciągając dłoń.

— Doktorze, zwrócił się do niego Dickson, czy oglądał pan już tego pacjenta?

— Tak jest. Widziałem go i nawet badałem. Uważam że cierpi on na chorobę umysłową.

— Hm... — a czy może pan stwierdzić przy- czynę?

— Przyczyny mogą być różne. Bardzo często jest to następstwem ciężkiego schorzenia. Zdarza się również po upadku z wielkiej wysokości lub na skutek urazu w głowę. Bywa także i dzie- dziczne...

— Czy ten człowiek rozumie co się do niego mówi? — zapytał detektyw.

— Wątpię ale niech pan spróbuje coś z niego wydostać.

— Hallo sir — zawołał głośno detektyw, mierząc chorego przenikliwym spojrzeniem. — jak się pan nazywa?

Widać było, że nieszczęśliwy czyni nadludzkie wysiłki aby odpowiedzieć. Zdawało się że rozu- mie pytanie. Przeciągnął rękę po czoło, jakby chciał sobie coś przypomnieć.

— Czy ktoś pana uderzył? — ponowił pyta- nie Dickson.

Chory zachichotał idiotycznie i wykrztusił dwa słowa:

— Zimno, zimno!

Harry Dickson nakrył go swoją bluzą i przy sposobności uważnie obejrzał jego ciało. Nagle za- wołał:

— Miałem rację! Ten biedak leżał w wodzie. Kapitanie Gordon, proszę dotknąć jego spodni, a przekonana się pan, że są mokre.

— Sądzi pan, że był w Tamizie?

— Nie wykluczone, Gordon.

— Kieszenie są oczywiście puste, ubranie ze zwykłego płótna, jakie nosi większość robotników w Londynie. A teraz mała próba. Proszę posadzić tego człowieka na krześle.

Dwaj policjanci nie bez trudności zmusili chorego aby usiadł.

Harry Dickson dotknął końcem palca jego twarzy. Chory nie drgnął nawet. Wówczas detektyw uderzył go w ramię. I to bez skutku. Niezszczęśliwy pozbawiony był wszelkiej wrażliwości. Następane próby również nie dały rezultatu. W pewnej chwili Dickson delikatnie pogładził go po głowie. Zerwał się wówczas, jak oparzony i zaczął głośno krzyczeć!

— Czy nie byłbyś tak uprzejmy, drogi Gordonie, dać mi dobre nożyczki i brzytwę?

— Na co to panu potrzebne? — zapytał zdumiony kapitan.

— Muszę obciąć temu człowiekowi czuprynę.

Przyniesiono mydło, pędzel, brzytwę i nożyczki, po czym Harry Dickson zabrał się do pracy, jak zawodowy fryzjer.

Trzeba było nielada siły, aby utrzymać delikwenta w spokoju. Najłżejsze dotknięcie głowy powodowało napady szalonego bólu.

Detektyw zrezygnował i szybko ostrzygł pacjenta i po chwili po przez krótkie włosy można było rozróżnić kolor skóry. Dickson wydobyl z kieszeni lupę i zaczął z uwagą oglądać czaszkę.

Nagle z triumfem zawołał:

— Właśnie o tym myślałem... To potwierdza moje podejrzenia. Doktorze Warren proszę podejść i obejrzyć te miejsca przez szkło powiększające. Co pan tam widzi?

— Małe zaczerwienienie nie większe niż główka od szpilki.

— Ja zauważyłem to samo i teraz śmiało mogę powiedzieć, że ten człowiek padł ofiarą zbrodniczego zamachu. Ktoś wbił mu igłę w głowę i uszkodził część mózgu a mianowicie substancję szarą.

— To możliwe — potwierdził lekarz.

— Jestem tego zupełnie pewny. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że ten człowiek tak, jak i dziesięć innych osób, które ostatnio znaleziono w podobnym stanie na ulicach Londynu, jest ofiarą zbrodni.

— Ależ to straszne! — krzyknął Gordon. — Kto mógł popełnić tak niesłychaną niegodziwość?

— Ktoś, kto chciał osiągnąć z tego zyski dla siebie — odparł spokojnie Harry Dickson. — Zależało mu widocznie na tym, aby unieszkodliwić swoje ofiary, tak, aby nie mogły nikomu opowiedzieć co się z nimi działo.

— Nareszcie zrozumiałem pana, Mr. Dickson. Przypuszcza pan, że jakiś zbrodniarz musiał więcej tych ludzi a później pozbawić ich rozumu.

— Winszuję panu, Mr. Gordon, — wyciągnął pan bardzo trafne wnioski. Ja myślę identycznie o tej sprawie i sądzę nawet, że znam przestępców.

— Czyżby?! — krzyknęli jednocześnie doktor i kapitan, spojrzawszy ze zdumieniem na detektywa.

— Wszystkie osoby pozbawione rozumu znalezione ostatnio na ulicach Londynu są ofiarami bandy przestępców, którą od dawna policja tropi bez żadnego rezultatu. Ta banda — to „Piraci Tamizy!

W poszukiwaniu zaginionego męża

Kiedy w godzinę później detektyw przybył do swego mieszkania na Bakerstreet, gospodyni jego Mrs. Crown przywitała go okrzykiem:

— To doskonale, że pan wrócił, Mr. Dickson. Już od dawna czeka tu na pana pewna młoda dama, której na razie Mr. Tom Wills dotrzymuje towarzystwa.

— Proszę powiedzieć tej damie, Mrs. Crown, że zjawię się za chwilę. Chcę tylko zmienić ubranie.

Po kilku minutach Harry Dickson wszedł do swego gabinetu. Na jego widok podniosła się młoda kobieta o wyglądzie damy z towarzystwa.

Detektyw wyciągnął do niej rękę i zapytał:

— Czy wolno mi wiedzieć, co pani sprawdza do mnie? Może pani mówić bez obawy i nie krępować się obecnością tego młodzieńca, gdyż obdarzam go bezwzględny zaufaniem.

— Przybyłam do pana, — rzekła kobieta ze łzami w oczach, — gdyż znajduję się w beznadziejnej sytuacji. Powiedziano mi, że pan jest jedynym człowiekiem, który może mi pomóc. Otóż... mój mąż zniknął przed piętnastu dniami i wszelki ślad po nim zaginął.

— Czy mogłaby pani podać mi swoje nazwisko?

— Evelina Blunt

— Imię męża?

— Norbert Blunt, przedstawiciel wielkiej firmy handlowej „Sheffield i S-ka“. Pobraliśmy się dwa lata temu. Byłam jedyną córką zamożnego kupca w Liverpoolu otrzymałam znaczny posag.

— Czy były między panią a mężem jakieś nieporozumienia?

— Ależ nigdy Mr. Dickson, byliśmy bardzo szczęśliwym małżeństwem. Mój mąż zarabiał doskonale, ja miałam dość duży dochód z własnych pieniędzy. Warunki materialne były dobre..... pobraliśmy się z miłości.

— Czy wyklucza pani możliwość samobójstwa?

— Mój Boże! — zawołała kobieta, płacząc. To chyba niemożliwe. Nie rozumiem co mogłoby mu się stać, ale najprawdopodobniej padł on ofiarą zbrodni.

— To być może... — szepnął Harry Dickson, goniąc spojrzeniem za smugą dymu, unoszącą się z jego nieodłącznej fajki. — Proszę mi dokładnie zrekonstruować zdarzenia, które miały miejsce ostatniego wieczoru przed zniknięciem męża.

— Pamiętam ten wieczór doskonale. Norbert powrócił ze Szkocji, dokąd pojechał w sprawach firmy.

— Czy mąż pani nie inkasował pieniędzy od klientów?

— Oczywiście. Po to go posyłano. Tym razem przywiózł dość pokaźną sumę.

— Ile w przybliżeniu?

— Przeszło tysiąc funtów szterlingów

— Kiedy przekazał je firmie?

— Stało się wielkie nieszczęście. Suma ta w ogóle nie została wpłacona. Pamiętam dokładnie co powiedział mi mąż przy śniadaniu. „Drogi dziecko, muszę natychmiast udać się do firmy i zwrócić zainkasowane pieniądze. Rozrachunki zapewne przeciągną się, to też nie denerwuj się, jeżeli nie wrócę na kolację“.

— A więc jest pani pewna, że małżonek zabrał ze sobą pieniądze?

— Owszem, widzę teraz jeszcze, jak wkładają je do portfela, obejmuje mnie, żegna się i odchodzi. Od tego czasu nie widziałam go więcej.

— Czy złożyła pani zameldowanie w policji?

— Tak, ale bez rezultatu.

— Czy dom handlowy „Sheffield i S-ka“ nie złożył skargi na pani męża? Mógł on przecież uciec za granicę.

— Nie dziwię się, że powziął pan takie podejrzenie, Mr. Dickson. Ale nie zna pan mego męża. To najuczciwszy człowiek pod słońcem. O tym wiedzą również w jego firmie. Najlepszym dowodem jest, że nie wkroczyli na drogę sądową, a domagają się jedynie ode mnie zwrotu pieniędzy.

— Chętnie oddałabym wszystko co posiadam — zawołała kobieta głosem nabrzmiałym łzami, — aby móc odzyskać mego męża.

— Mówiąc to, wyjęła fotografię z torebki i podała ją detektywowi.

— Proszę spojrzeć, Mr. Dickson mam powód, aby być nieszczęśliwą... straciłam człowieka dobrego, miłego i bardzo przystojnego.

Harry Dickson wziął fotografię i zbliżył się z nią do okna. Ale zaledwie rzucił na nią okiem, krzyknął głośno:

— Droga pani, muszę panią przygotować na najgorsze! Niestety, nie uda się pani odnaleźć męża całego i zdrowego. Musi się pani pogodzić z tym, że straciła go pani na zawsze.

— I pan to mówi, Mr. Dickson? Pan w którym pokładałam największe nadzieje? Myślałam, że tylko pan potrafi go odnaleźć.

— I znalazłem go — odparł zgaszonym głosem detektyw.

— Evelina Blunt zachwiała się.

— Boże miłościwy co pan mówi? Przecież pan wcale nie znał go.

— Niestety nie myślę się — odparł detektyw, spoglądając jeszcze raz na fotografię. — Jego właśnie znaleźliśmy przed kilku godzinami w West-Ferry-Road.

— A więc on żyje!

— Żyje... — odparł Dickson, ujmując rękę drżącej kobiety — ale stracił rozum!

Evelina Blunt wykazywała niezwykle hart ducha. Nie mdlała ani nie płakała. Pozwoliła z uległością posadzić się na kanapie i uważnie wysłuchiwała opowiadania detektywa.

— O jednym mogę panią zapewnić Mrs. Blunt, zrobię wszystko, aby schwytać przestępcę i odpowiednio go ukarać.

— Ograbili go doszczętnie — dodał, — w chwili, kiedy go znaleźliśmy, miał na sobie tylko płócienne spodnie.

— Wyszedł z domu bardzo starannie ubrany, — przerwała p. Blunt. — Kładł na to zawsze wielki nacisk.

— Czy może nam pani opowiedzieć co nosił?

— Miał na sobie brązowy garnitur w kratę, czarny filcowy kapelusz i krawat w brązowe i czerwone paski.

— Jeszcze jedno pytanie. Czy mąż pani lubi sport pływacki?

— Nic o tym nie wiem, — odparła zdumiona kobieta. Dlaczego pan o to pyta?

— Chciałbym poznać wszystkie namiętności pani męża.

Młoda kobieta zarumieniła się nagle i rzekła z zakłopotaniem:

— Muszę zwierzyć się panu z jeszcze jednej wiadomości, którą osobiście uważam za plotkę.

— Hm... cóż to takiego?

— Otóż zjawił się u mnie mój kuzyn Charlie i oznajmił, że wcale go nie dziwi ten obrót wydarzeń... — rzekł.

— Widzisz, — zawsze cię ostrzegałem przed małżeństwem z tym człowiekiem.

— To prawda, że mi odradzał, ale dlatego, że sam chciał się ze mną ożenić! Nigdy jednak nie wzbudził we mnie zaufania.

— I co jeszcze pani powiedział?

— Utrzymał, że spotkał Norberta tego dnia, kiedy zniknął w tajemniczy sposób, w towarzystwie pięknej kobiety. Zapewne chciał wzbudzić we mnie zazdrość, ale nie uwierzyłam w tę plotkę.

— Co za wstrętny kuzyn!

— Dodał jeszcze, że mój mąż wysiadł z nią razem z dorożki w okolicy Ile des Docks.

— To było z pewnością kłamstwo, niech pani w to nie wierzy!

— Ale on mi podał nawet numer dorożki. Nr. 2730!

— Słyszysz, Tom, 2730! — rzekł detektyw do swego ucznia.

Tom Wills momentalnie wpisał numer do notesu.

— Czy kuzyn pani nie śledził ich więcej? Czy nie zauważył dokąd poszli!

— Oświadczył, że nie zrobił tego przez delikatność. Odwróciłam się od niego plecami i zakazałam przestępować próg mego domu. Ta złośliwa plotka sprawiła mi wielką przykrość... Często zastanawiałam się od tego dnia, kiedy mąż nie wracał, czy też kuzyn nie powiedział prawdy.

— Czy szukała pani dorożki Nr. 2730?

— Owszem... przyznała się Evelina, zarumieniona z zakłopotania

— I dowiedziała się pani — przerwał detektyw, — że nie ma w Londynie dorożki o tym numerze.

— Tak, Mr. Dickson, ale skąd pan to wie?...

— To są tajemnice detektywów — odparł z uśmiechem Harry Dickson — A teraz radzę pani, Mrs. Eveline, powrócić do domu i nie starać się o widzenie z mężem. Znajduje się on teraz pod dobrą opieką w szpitalu Betleem. Później, ja sam zaprowadzę panią do niego. Proszę nic nie przedsiębrać bez uprzedzenia mnie.

— Mam do pana wielkie zaufanie, Mr. Dickson i zbroję tak, jak pan mi radzi.

— Przede wszystkim niech pani nikomu nie opowiada ani o tym, że małżonek pani został odnaleziony, ani o tym w jakim stanie się znajduje.

— Przyniekam, że będę milczeć!

Detektyw odprowadził młodą kobietę do drzwi i kazał sprowadzić dla niej taksówkę.

Powróciwszy do gabinetu rzekł do swego ucznia:

— Nie mamy ani chwili do stracenia. Musimy dowiedzieć się natychmiast, do kogo należy dorożka Nr. 2730. Musisz rozpytać o to twych przyjaciół, szoferów i dorożkarzy.

— Postaram się załatwić to w trzy godziny. Trochę czasu zajmie mi charakteryzacja, gdyż moi przyjaciele znają mnie jako szlifierza noży.

W kwadrans później Harry Dickson ujrzał z okna swego gabinetu młodego chłopca utykającego na lewą nogę popychającego przed sobą mały wózek i krzyczącego na cały głos:

ŚMIECH TO ZDROWIE!

Salwy śmiechu wywołują arcydzieła przygody najznakomitszych komików ekranu.

W ilustrowanym albumie

PAT I PATACHON

SERIA VII.

Wybór anegdot i dowcipów
Do nabycia wszędzie

CENA 30 GR.

— Ostrzę widelce i noże!... Ostrzę widelce noże!...

Ojciec szlifierza noży

Harry Dickson spożywał właśnie obiad, kiedy Tom powrócił do domu.

— Siadaj i jedz, — zaprosił go detektyw. — Jednocześnie możesz mi opowiedzieć, coś odkrył ciekawego. Polecam ci tę zupę rybna... Tym razem Mrs. Crown przeszła samą siebie.

Odnalazłem dorożkę Nr 2730 i jej obecnego właściciela.

— Któż to taki?

— Charlie Blackwell, mieszka na Dover-Street 24.

— Co to za człowiek? Poznałeś go?

— Oczywiście. Nawet rozmawiałem z nim.

— Opowiedz, jak ci się to udało zrobić?

— Wiedziałem, że moi przyjaciele szoferzy zbierają się często w tawernie Meryman. Udałem się tam i nawiązałem z jednym z nich rozmowę obficie zakrapianą alkoholem. Zapytałem go, czy nie wie co się stało z dorożką Nr. 2037 i dowiedziałem się, że drynda należała niegdyś do niejakiego Wistha który nagle umarł. Wdowa sprzedała wóz obecnemu właścicielowi, nazwiskiem Blackwell.

— Czy dowiedziałeś się jeszcze czegoś o Blackwellu?

— Nie.... musiałem pobiec diabelnie daleko na Eastend, gdzie wdowa po dorożkarzu założyła sobie mały sklepik kolonialny i od niej wy dobyć adres obecnego posiadacza. Przytaszczyłem się więc na Dover Street i zadzwoniłem do drzwi domu Nr. 24.

Z głębi wynurzyła się jakaś odrażająca wiedźma.

— Czy ma pani coś do naostrzenia? — zapytałem.

— Mogę ci najwyżej uszu natrzeć — zawołała, zamykając mi drzwi przed nosem.

Ale w tym momencie zabrzmiał męski głos:

— Czy to szlifierz przyszedł?

— Tak jest, — zawołałem. — Ostrzę na oczekaniu noże, widelce, brzytwy...

— Chodź tutaj!...

Stara czarownica mimo wyraźnej niechęci musiała mnie wprowadzić do środka.

W korytarzu ukazał się wysoki mężczyzna z bujną, ciemną brodą.

Zauważyłem, że przyglądał mi się podejrzliwie, co mnie nie zdziwiło, gdyż często spotykałem się ze zdaniem, że szlifierze kradną. Człowiek ten był Mr. Blackwellem we własnej osobie. Wprowadził mnie do swego pokoju na pierwszym piętrze, otworzył szufladę i wyciągnął z niej wielki nóż.

— Czy możesz mi to naostrzyć?

— Dlaczego nie? — odpowiedziałem. — Bę-

dzie taki ostry, że można nim będzie rozciąć włos na dwie części.

— Gdzie będziesz pracował tu, czy na ulicy?

— Pan się obawia, że skradnę? O, ja jestem uczciwy człowiek. Zaraz zabieram się do pracy.

— Słuchaj no — dodał jeszcze — nie będę się z tobą targował, ale naostrz go jak należy.

Dostałem się na dół, stary cerber otworzył mi drzwi i natychmiast je za mną zamknął. Kiedy znalazłem się na ulicy uciekłem stamtąd jaknajprędzej.

— Dlaczego? Nie odniosłeś noża Mr. Blackwellowi?

— Sądziłem, że zainteresuje pana ten nóż. Wygląda on raczej na broń, niż przedmiot codziennego użytku. Proszę go obejrzeć dokładnie. Czy to nie plama krwi i włos na ostrzu?

Detektyw wziął nóż, zaniósł go do światła i uważnie obejrzał jego powierzchnię przez szkło powiększające.

— Krew i włos, — skonstatował. — Miałeś rację, mój chłopcze, że mi go przyniosłeś. To pewne, że Mr. Blackwell przykłada do tego noża specjalną wagę. Muszę poznać bliżej tego człowieka. Postanowiłem nawiązać tę znajomość dziś wieczorem. Na razie nie pozostaje nic innego, jak czekać.

Kiedy zapadł zmrok Harry Dickson „zmienił skórę”. Podarte i poplamione ubranie, wykrzywiony, zdefasonowany kapelusz, ruda peruka i czerwony, pijacki nos zmieniły go po prostu nie do poznania.

W przebraniu tym przybył na Dover-Street. Stara gospodyni przywitała go gradem wymysłów.

— Czego tu chcecie? Wynosić mi się natychmiast! Cały dzień pętają się dzisiaj włóczęgi!

— Droga pani, — odparł skromnie detektyw, zdejmując kapelusz, — przyszedłem do Mr. Blackwella w bardzo ważnej sprawie. Proszę mu powiedzieć, że jestem ojcem szlifierza noży.

— Aha... — przynieśliście może nóż, który ukradł ten mały nicpoń?

— Tak jest. W tej sprawie przybyłem. Chciałbym rozmówić się z panem Blackwellem osobiście.

— Proszę zaczekać.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem ale po chwili znów otworzyły się i gospodyni niezbyt zachęcającym ruchem wskazała przybytemu drogę na pierwsze piętro.

— O co chodzi? — zapytał gospodarz, wpatrując się w przybysza nieufnym spojrzeniem. Podobno jesteście ojcem szlifierza, któremu powierzyłem wyostrzenie mojego noża.

— Tak, na nieszczęście, jestem ojcem tego łajdaka — odparł Dickson płaczliwym tonem. Smarkacz rozłajdaczył się do reszty. Nie można go w żaden sposób nauczyć uczciwości. Proszę sobie wyobrazić, że sprzedał on nóż za szylinga i zwił z pieniędzmi.

Z ust Blackwella wyrwało się przekleństwo.

— Zapłacę za ten nóż ile pan zażąda. Zwracam się jednocześnie do pana z prośbą, aby nie wytaczał skargi przeciwko mojemu chłopakowi, chociaż więzienie nauczyłoby go może trochę rozumu.

— Wynoście się do diabła! — ryknął Blackwell. — Co mi przyjdzie z waszych kilku szylingów? Ten nóż to była pamiątka... Przydawał mi się czasami.. No, jazda stąd!

— Idę już, idę — mruzczał Harry Dickson, schodząc ze schodów. — Ale to nie jest w po-

rzadku, aby przyjmować w ten sposób porządnym ludzi!

— Dosyć! — uciał Blackwell. — Hatty odprowadź go do drzwi, aby nic nie mógł ukraść po drodze.

W tej chwili kiedy gospodyni miała zamiar wypuścić go z mieszkania, z zewnątrz rozległ się donośny dźwięk dzwonka. Detektyw odsunął się przezornie na bok i pozwolił wejść do środka młodej, eleganckiej damie.

Jakież było jego zdumienie, gdy poznał... Evelinę Blunt.

Młoda kobieta minęła go szybko i zwróciła się do gospodyni.

— Czy mój kuzyn Charlie, jest w domu?

— Tak, madame, proszę wejść do salonu zaraz go zawołam.

Nagle zauważyła detektywa.

— A ty na co tutaj czekasz jeszcze? Precz stąd!

— Stara małpol! krzyknął Dickson, wybiegając na ulicę.

Nie odszedł daleko. Usadził się na rogu i nie spuszczał oczu z bramy domu Nr. 24.

— Cóż to znaczy, że żona tego nieszczęsnego Blunta którego dziś znaleźliśmy na ulicy, składa wizytę Blackwellowi? Przecież ten Blackwell, to nikt inny tylko jej kuzyn, na którego się tak przede mną skarżyła. To on przyniósł plotkę o tym, że widział jej męża z uroczą brunetką w dorożce Nr. 2730. A teraz okazuje się, że właścicielem tej dorożki jest nikt inny tylko on sam.

Czyżby Mrs. Blunt była współniczką kuzyna, którego pozornie nie cierpi? Czy nie pomogła mu przypadkiem w zbrodni, aby pozbyć się męża?

Detektyw szybko jednak zaczął odżegnywać się od tych podejrzeń.

— Nie mogę wyciągać mylnych być może, wniosków jedynie tylko na podstawie tego faktu, że spotkałem ją w tym domu. Ciekaw jestem, jak usprawiedliwi ona swą obecność u kuzyna.

Detektyw nie czekał długo. Nie minął kwadrans, a młoda kobieta, ukazała się na ulicy. W chwili gdy go mijala, Dickson stłumionym głosem zawołał:

— Mrs Blunt! Mrs. Blunt!

Zdumiona spojrzała na zaczepiającego ją mężczyznę, a ujrawszy jego obdarte ubranie i czerwony, pijacki nos, poszła naprzód, nie odpowiadając.

— Proszę się zatrzymać, Mrs. Blunt. To ja... Harry Dickson.

— Boże drogi! — krzyknęła — Poznaję pana po głosie. Ale co za strój?... Co się panu stało?

— Nic nadzwyczajnego. Musiałem tylko złożyć wizytę pani kuzynowi. Proszę mi szczerze odpowiedzieć, w jakim celu pani do niego poszła?

Oczy młodej kobiety wypełniły się łzami...

— Powiem panu wszystko, Mr. Dickson, chociaż bardzo się tego wstydzę... Po naszej dzisiejszej rozmowie zastanawiałam się długo, czy mam prawo podejrzewać mego męża o niewierność. Nie zastanawiając się nawet co robię, udalam się do kuzyna, aby zaprzeczył poprzedniej plotce.

— I cóż on pani odpowiedział?

— Niestety, powtórzył raz jeszcze to co poprzednio. Obawiam się, że to była prawda!...

Harry Dickson starał się ją pocieszyć. Potem poradził jej, aby wróciła do domu i bez uprzednie-

go zezwolenia pod żadnym pozorem, nie porozumiewała się z kuzynem.

— Proszę mi jeszcze jedną rzecz powiedzieć. Czym zajmuje się pani kuzyn? Z czego żyje?

— Nie wiem. Ojciec jego zostawił mu w spadku okrągłą sumkę. Przypuszczam, że ma stałą rentę.

Po udzieleniu żądanych wyjaśnień Eveline Blunt pożegnała detektywa i oddaliła się.

Niezamieszkały dom

Cierpliwość Harry Dicksona została wystawiona na długą próbę. Minęła godzina dziewiąta, potem pół do dziesiątej, a drzwi, wiodące do domu nr. 24 na Dover Street pozostały przez cały czas zamknięte.

O godzinie pół do jedenastej detektyw znów spojrzał na zegarek. W tej samej chwili jakiś człowiek wyslizgnął się niepostrzeżenie z bramy. Dickson nie mógł dojrzeć w ciemnościach jego twarzy, ale od razu poznał po sylwetce tajemniczego kuzyna Mrs. Eveline Blunt.

Postanowił go śledzić. Szedł za nim w pewnej odległości, starając się nie spuszczać go z oka. Na razie nie nastęczało to żadnych trudności. Ulice były zupełnie puste. Ale detektyw pomyślał o tym, że musi przedsięwziąć wszystkie środki ostrożności. Postanowił przeto znów zmienić swój wygląd, aby Blackwell go nie poznał.

Nie mógł wrócić do domu więc ucharakteryzował się na poczekaniu.

Skręcił w małą, boczną uliczkę, nałożył na głowę perukę, którą wydobyl z kieszeni, przykleił sobie fałszywą brodę i stał czerwone plamy z twarzy i nosa, nadające mu wygląd pijaka. Ale nie był jeszcze zadowolony. Mogło go zdradzić ubranie. I znów pomógł mu przypadek... Nagle minął go bowiem jakiś jegomość w eleganckim wieczorowym palcie i w cylindrze.

— To pan, Mr. Carr? Dokąd to? — zapytał Dickson.

— Do klubu. Żegnam jednego z kolegów.

— Czy nie byłby pan tak uprzejmy pożyczyć mi palta i kapelusza? Ale szybko, bo nie mam czasu.

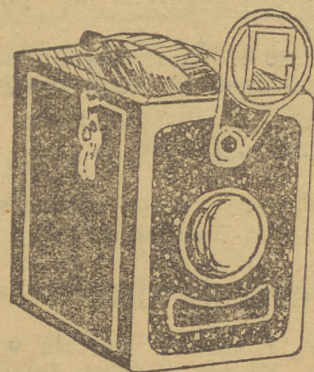
— Ależ oczekują mnie w klubie.

— Do licha! Co z pana za detektyw jeśli nie chce pan pomóc koledze w potrzebie? Coby na to powiedzieli pana przełożeni? Przecież może się zdarzyć, że przyda się panu rewanz. Po sekundzie wahania Mr. Carr oddał palto i kapelusze detektywowi.

Nie trwało to więcej, jak dwie minuty. Trzeba się było spieszyć. Harry Dickson rozpoznał z daleka wysoką sylwetkę Blackwella.

Droga, którą szedł, prowadziła na peryferie miasta. Przebył on Blue - Anchor - Road, potem Southwark-Park a teraz zagłębił się w Deptford-Road. Było to wybrzeże Tamizy niedaleko dzielnicy portowej. Nagle Blackwell zniknął w jakimś domu. Harry Dickson zastanawiał się czy pójść za nim. Nie łatwo się było zdecydować. Ostatecznie postanowił strzec go z zewnątrz.

Tak jak wszystkie domy w tej dzielnicy: ten miał bardzo wąską fasadę z szeregiem okien, wychodzących na ulicę. Budynek miał wygląd kompletnie opuszczonego i żadne okno nie było oświetlone.



APARAT FOTOGRAFICZNY DOSTĘPNY DLA KAŻDEGO!!

Każdy może niewielkim kosztem posiadać doskonały, popularny aparat fotograficzny „Rekord”. Aparat ten, odznaczający się wysoką precyzją wykonania, robiący zdjęcia o każdej porze dnia i przy każdej pogodzie jest najlepszym przyjacielem na wycieczkach i spacerach. Wyniki fotografowania bardzo dobre. Aparat fotograficzny „Rekord” jest łatwy w obsłudze — to też każdy może nim bez specjalnego przygotowania, od razu robić zdjęcia. Aparat fotograficzny „Rekord” wysyłamy w ozdobnym futerale, łącznie z rolką filmową na 12 zdjęć i poczeniem za Zł. 8.95 na listowne zamówienie. Płaci się przy odbiorze.

Adresuj: KAZIMIERZ KOŁODZIEJCZYK, WARSZAWA, Pl. Napoleona I,
skr. poczt. 802 H. D.

Harry Dickson pomyślał, że wartoby było zasięgnąć o jego mieszkańcach informacji u sąsiadów, ale godzina była już spóźniona.

— Nie mam innej rady. Muszę dostać się do środka i zobaczyć co się tam dzieje!

Detektyw przeszedł na drugą stronę ulicy i ostrożnie kryjąc się pod murami doszedł do drzwi. Pchnął je. Nie były zamknięte. Znalazł się nagle w zupełnych ciemnościach. Na szczęście, w kieszeni pożyczonego palta były zapalki. Zapalił natychmiast jedną z nich i w nikłym świetle ujrzał drewniane schody, prowadzące w górę. Harry Dickson począł się pięć po nich, starając się nie wywoływać najmniejszego szmeru.

Na pierwszym piętrze wzdłuż długiego korytarza znajdowała się wielka ilość drzwi prowadzących do zupełnie pustych pokoi. Wszystkie zdradzały ślady wielkiego zaniedbania i opuszczenia.

— Ten dom jest niezamieszkały! — rzekł do siebie detektyw. — Blackwell musiał mieć specjalny powód, aby tutaj przyjść. Ale gdzie on się podział? Poszukajmy go na wyższym piętrze.

Po chwili Dickson znalazł się na górze i odkrył jeszcze jeden pusty pokój. I tu Blackwella nie było. Nagle uszu detektywa dobiegł dziwny szmer, przypominający szum wody.

— Tamiza! — szepnął. — Widocznie z drugiej strony tego domu przepływa rzeka!

Zbliżył się do wielkiego, otwartego okna. Zapalka zgasła. Aby nie zostawić po sobie śladów, schował ją do kieszeni. W księżycowej poświacie cicho szemrały fale Tamizy. Do parapetu okna była przyczepiona mała drabinka linowa.

Na twarzy detektywa pojawił się uśmiech.

— A więc tedy Blackwell wy dostał się z domu. Nie skoczył chyba do wody? Na dole musiała na niego czekać łódka. Do licha! To zasługuje na uwagę. Człowiek, który odbywa spacer w tak tajemniczych okolicznościach, musi mieć ważne po temu powody. Zaczekam tu na niego, aż wróci. Potrwa to zapewne długo... muszę wobec tego zawiadomić Toma.

Harry Dickson pobiegł co sił do najbliższego urzędu pocztowego i nadał depezę tej treści:

„Tom Wills. Baker-Street. Przyjdź na ulicę Deptfort-Street i odszukaj dom oznaczony trzema krzyżami. Czeka tam aż do następnych moich poleceń”.

Następnie detektyw dopuścił się małej kradzieży. Na stole, przy którym pisał, leżał czerwony ołówek. Niepostrzeżenie wsunął go do kieszeni. Przybywszy przed dom, nakreślił na bramie trzy wielkie czerwone krzyże. Wszedł na-

stępnie do środka i począł szukać dogodnego miejsca do spania. Znalazł w kącie pokoju wielką skrzynię i postanowił przepędzić noc na tym zaimprowizowanym łóżku. Obok położył nabity rewolwer i nóż ukradziony Blackwellowi. Detektyw ułożył się wygodnie i wysłuchiwał się w monotony. szum fal.

I stała się rzecz dziwna... rzecz, która nigdy mu się nie zdarzała, kiedy był na czatach... Harry Dickson zasnął.

Blady promień księżyca, który przedarł się przez chmury, zatrzymał się na chwilę na jego spokojnej, uśpionej twarzy.

N Ó Ż

— Hallo kolego, wypileś zapewne za dużo ginu, że śpisz jak susel.

Harry Dickson, nie zdradzając przerażenia, które nim ogarnęło, nie drgnawszy nawet otworzył oczy. Przed nim stał wysoki, barczysty drągal, o podejrzanym wyglądzie, z twarzą pokrytą śladami ospy i wielkim splaszczonym nosem.

— Co tu robisz? Czy herszt kazał ci pozostać na straży.

— Tak jest, — odparł Dickson bez wahania. — Szef odjechał. Czekam tu na jego powrót.

— No, to potrwa dość długo... Czy nie wiesz, że ma on tym razem pozostać przez trzy dni na wyspie? Ma on tam jakieś ważne sprawy do załatwienia. Wybieram się do niego. Chcesz iść ze mną.

— Oczywiście. Przed chwilą właśnie zastanawiałem się nad tym, czy nie lepiej byłoby pojechać na wyspę. Odpowiedź wypadła tak pewnie i stanowczo, że przybyły nie powziął najmniejszego podejrzenia.

— To dziwne, że nie znam cię, — podjął znów rozmowę. — Od jak dawna należysz do bandy?

— ...Już od dawna. Ja ciebie znam z widzenia doskonale.

— No to rzecz zrozumiała. Wszyscy znają „Łysego”. Ale miałeś szczęście, żeś położył koło siebie ten nóż. Gdyby nie to, prędko bym się z tobą rozprawił. Ten znak rozpoznawczy od razu wyjaśnił mi, że należysz do „Piratów Tamizy”.

Serce detektywa wypełniła wielka radość.

— Nareszcie, — pomyślał, — nareszcie wpadłem na trop tej straszliwej bandy, która bezkarnie pod okiem londyńskiej policji dopuszczała się już od długiego czasu szeregu niesłychanych przestępstw i zbrodni!

Tym razem przypadek cudownie mu się przyśłużył. Blackwell należy prawdopodobnie do szajki, być może... jest jej hersztem.

Ku swemu wielkiemu zdumieniu Harry Dickson ujrzał, że „Łysy“ przedostaje się przez parapet.

— Dokąd on zmierza? Nie skoczy chyba do wody? Nie zadał jednak żadnego pytania, nie chcąc się zdradzić.

— Poczekaj chwilę — zawołał „Łysy“, — zaraz wyprowadzę łódkę. I trzymając się jedną ręką linowej drabinki, nachylił się nisko i wyciągnął niewielkie czółno.

Okazało się, że dom na Deptfort-Street, tak jak niektóre pałace przy Canale Grande w Wenecji, miał w swych fundamentach wybudowaną niewielką przystań. „Łysy“ wsiadł pierwszy, detektyw za nim.

— A teraz naprzód, towarzyszu! Wiosłuj co sił, tak, abyśmy za pół godziny przybyli na miejsce.

Teraz Dickson znał również kryjówkę bandy. Musiała nią być mała, nieurodzajna wysepka, stale zagrożona powodzią, niezamieszkała przez nikogo, położona z ujścia Tamizy.

— Dawno już nie byłeś na wyspie? — zapytał „Łysy“, zapalając fajkę.

Na szczęście, nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej:

— Ja nie byłem już tam od dwóch miesięcy. Byłem w ukryciu.

— Czy „glina“ deptała ci po piętach? Zdaje mi się, że Blackwell mówił coś na ten temat?

— Możliwe... Chociaż nie wiedziałem, że Blackwell już się dowiedział. Miałem przykry wypadek. Poszło o głupstwo. W portowej tawernie pokłóciłem się z jednym marynarzem, którego gęba mi się nie podobała. Trzasnąłem go w łeb butelką piwa tak, że zwałił się na ziemię jak kłoda. Za to wsadzili mnie na dwa miesiące. Czy robiliście jakie interesy pod moją nieobecność?

— Wspaniale! Nam, „Piratom Tamizy“ nigdy ich nie brak...

— Tak, Blackwell to spryciarz. Umie wywęszyć gdzie jest złoto. A jak zręcznie potrafi ściągnąć ludzi na przejażdżki po Tamizie. Ale jest jedna sprawa, co do której absolutnie z nim nie zgadzam się.

— Cóż takiego? — zapytał detektyw.

— Ten jego trick z igłami...

W tym momencie wiosła raptownie uderzyły w wodę i łódź nieco się przechyliła. Dickson oparował się natychmiast i rzekł:

— Uważasz, że Blackwell niesłusznie postępuje, wbijając igły w mózgi swych ofiar, aby im na zawsze zamknąć języki?...

— Naturalnie. To jest ohydna tortura i nadomiar rzecz nie całkiem pewna. Gdyby który z nich odzyska rozum, byłibyśmy zgubieni... Moim zdaniem znalazłyby się inne, lepsze i radykalniejsze sposoby.

— Dlaczego właściwie Blackwell nie zabija swoich ofiar?

— Bawi go niesłuchanie ta zabawa z policją. Skręca się po prostu ze śmiechu na wieść, ile zamieszania narobił w Scotland-Yardzie. „Glina“ podobno łamię sobie głowę, aby rozwiązać zagadkę...

— Ale otóż i wyspa. Mój chłopcze, wiosłowalesz jak mistrz, przybывamy w rekordowym cza-

sie. Zapomniałeś mi powiedzieć, jak się nazywasz.

— „Żelazna ręka“ — odparł Dickson bez chwili wahania, czekając już od dawna na to pytanie. Jednocześnie uprzytomnił sobie, że nadszedł moment działania. Nie mógł przecież wyjść na brzeg razem z towarzyszem. Jak uwolnić się od niego?

Było tylko jedno wyjście: zamknąć mu usta i uniemożliwić wydostanie się z łodzi.

Powoli z ciemności wynurzała się wyspa.

— Do licha! — krzyknął nagle detektyw, wyciągając wiosło z wody, — prąd jest tutaj tak silny, że złamał mi wiosło.

— Czyżby? — zapytał „Łysy“, nachylając się, aby lepiej widzieć. Złamane... mówisz.

To były jego ostatnie słowa.

Detektyw ruchem szybkim, jak piorun, uniósł w górę wiosło i uderzył nim z całej siły bandytę w głowę. Bez jęku zwałił się on na dno łodzi.

Dickson związał mu mocno ręce i nogi i wtłoczył mu do ust własną chustkę od nosa. Postanowił wylądować w miejscu zarosniętym krzakami, aby nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi.

Powoli i bez szmeru łódź popłynęła naprzód. Znajdowała się teraz w odległości 200 jardów od wyspy i z łatwością można już było dostrzec niektóre szczegóły.

Uwagę detektywa przykuł przede wszystkim dom wybudowany tuż nad brzegiem, na wielkim drewnianym pomoście. Przypominało to dawne osiedla na palach, chroniące budowle przed zalewem wody.

Okna tego domu, wychodzące na rzekę, zamknięte były i nieoświetlone. Wyspa miała wygląd niezamieszkałej. Mimo to Harry Dickson postanowił oddalić się w bok i poszukać odpowiedniejszego miejsca do wydostania się na brzeg.

Nagle wyćwiczone ucho detektywa uchwyciło jakiś szmer. Spojrzał przed siebie i ujrzał, że jedno z okien ciemnego domu otworzyło się i wychylił się przez nie człowiek z karabinem w ręku.

— Hasło!.. Hasło!... — krzyknął do Dicksona.

— Do diabła! — pomyślał detektyw. — Skończony ze mnie idiota że nie wydostałem hasła od „Lysego“. Łatwo mógłbym go do tego zmusić, grożąc mu śmiercią... Teraz, niestety, za późno! Nie zastanawiając się dłużej, podniósł w górę rękę, uzbrojoną w nóż.

— Oto moje hasło!.. Do licha! Nie było mnie tu dwa miesiące. Siedziałem pod kluczem. Nie poznajecie mnie? Jestem „Łysy“!

Harry Dickson miał nadzieję, że trudno go będzie rozpoznać pod osłoną nocy.

Ale w chwilę potem rozwały się jego złudzenia. „Piraci Tamizy“ na wszystko mieli sposoby. Nim Harry Dickson zdołał się zorientować, całą jego postać oświetlił oślepiający reflektor. Teraz można się było ratować jedynie jaknajszyszą ucieczką. Detektyw usiadł na ławeczce w łodzi i zrobił obrót wiosłami. W tej samej chwili huknęły strzały i kilka kul przeleciało ze świstem obok jego twarzy. Jednocześnie rozległ się dzwon alarmowy. Dickson ułożył się na dnie łodzi i dał się unosić prądowi. Zrozumiał że sytuacja przybrała obrót nie wróżący mu nic dobrego.

Znajdował się teraz w odległości stu kroków od wyspy i wyraźnie slyszal jak's ochryply. rozkazujacy glos.

— To szpieg! Musimy go schwytać!

Detektyw z największą ostrożnością podniósł głowę. To co ujrzał, zmroziło mu krew w żyłach. Cała flotylla, złożona z czterestu łódek została wysłana w pościg. Na przodzie, w najbliższej łodzi, stał wysoki mężczyzna z rewolwerem w ręce... Był to nikt inny, tylko Blackwell.. herszt bandy „Piratów Tamizy“.

— Tym razem sprawa jest przesądzona. Jestem zgubiony. Jeśli wpadnę w ręce tych bandytów, podzielę los tych wszystkich nieszczęśliwych, których ostatnio znaleźliśmy na ulicach Londynu. Pewnego pięknego dnia policja znajdzie również Harry Dicksona, pozbawionego rozumu... Nie widzę żadnej możliwości ocalenia...

W tym momencie detektyw usłyszał charakterystyczny szum.

— Parowiec! Parowiec w pobliżu... Gdybym mógł się tam dostać byłbym uratowany. Spróbuję zwrócić uwagę ludzi, znajdujących się na pokładzie.

Nadzieja dodała mu sił. Potężne ruchy wiosel popchnęły czółno naprzód... Ale i „Piraci Tamizy“ ujrzeni statek. Podwoili energię, aby uniemożliwić ucieczkę.

— Trzymać, trzymać go! — ryczał Blackwell. — To dla nas bardzo ważna rzecz, aby nie pozwolić mu umknąć. Zna on tajemnice naszej wyspy i może nas wyspać! Nie chcecie chyba dostać się do więzienia na resztę waszych dni... Naprzód! Brać go!

W pół minuty później łódź herszta zrównała się z łodzią detektywa.

— Idź do piekła! — zawył Blackwell, wysyłając trzy kule w ślad za Harry Dicksonem.

Ale detektyw schylił się zrećnie i kule przeleciały nad jego głową.

— Teraz moja kolej — krzyknął, wyciągając rewolwer. — Hola, Blackwell, wyrównamy nasze rachunki.

Czółna dotykały się prawie. Detektyw był pewny, że nie chybi. Parowiec był już blisko. Chwila ocalenia niedaleka!

Nagle objęły go jakieś żelazne ramiona i zgniotły w stalowym uścisku. Jednocześnie w kark wbiły mu się czyjeś zęby, jak zęby dzikiego zwierzęcia...

Detektyw krzyknął z bólu. Ktoś pociągnął go z całej siły w tył i po chwili czyjeś kolana znalazły się na jego piersiach, czyjeś ręce chwyciły go za gardło.

Detektyw poznał nieoczekiwane przeciwnika. To... „Łysy“ wydobył się z więzów i ocalił swego wodza w ostatniej chwili.

— Mam go, kapitanie! Złapałem tego szpicla, któremu zdradziłem tajemnicę naszej wyspy, jakbym był ślepy...

— Niech cię diabli porwą! — ryknął Blackwell. — Na szczęście naprawiłeś swoją głupotę! Zwiąż go dobrze! Oto sznury... Poczekaj... pomogę ci! Łódki do mnie! Dwaj ludzie do czółna „Łysego“! Sprowadzić szpicla na wyspę! Tam się z nim załatwimy!

Kiedy „Piraci Tamizy“ krępowali ręce i nogi Harry Dicksona, wielki parowiec przepłynął obok.

Ostatnia nadzieja ratunku zginęła razem z nim w mrokach nocy.

Rozżarzone igły

Harry Dickson znalazł się w kryjówce „Piratów Tamizy“ Uwolniono go z więzów. Detektyw doszedł do przekonania, że nie było żadnych możliwości ucieczki.

Sprowadzono go do wielkiego ponurego pokoju, pełnego łupów, pochodzących z rabunku. Na środku znajdował się oibrzymi stół zastawiony butelkami alkoholu i resztkami kolacji, w której prawdopodobnie przeszkodził bandytom alarm, jaki detektyw wywołał swym pojawieniem się.

Harry Dickson obliczał ilość uczestników. Było ich dwudziestu ośmiu. Wielu z nich poznał jako popularne osoby ze świata przestępców. Niejednokrotnie miał już z nimi do czynienia. Pocięszyła go myśl, że sam nie został przez nich poznany. Zawdzięczał to temu, że pracował przeważnie w charakterystyce i przebraniu.

— Przeniosę się na tamten świat, ale nie dowiedzą się kim jestem, — pomyślał z gorzką satysfakcją.

W tej chwili na salę wszedł Blackwell. Przyjęto go głośnymi okrzykami. Nie zwracając na nich uwagi, usiadł za stołem.

— Przyprawiać tego psa! — rozkazał wskazując więźnia. — Sprawa z nim będzie krótka. Muszę tylko stwierdzić, od kogo dowiedział się on, że w domu na Deptfort-Street urządziliście sobie przystań.

„Łysy“ schwycił detektywa za kark i kopniakiem pchnął go na przód.

Harry Dickson zatrzymał się w odległości kilku kroków od Blackwella.

— Coś ty za jeden? — zapytał herszt, mierząc go spojrzeniem od stóp do głowy. Poznaje cię!

— Tym lepiej! — odparł spokojnie detektyw. — Nie będę potrzebował się przedstawiać.

Blackwell zagryzł wargi.

Nie miał naturalnie najmniejszego pojęcia, kim jest więzień i przypuszczał, że gdy go zaskoczy, sam powie mu swoje nazwisko.

— Przyznaj się, że jesteś szpiclem!

— Ja? — roześmiał się Harry Dickson. — Nie mam nic wspólnego z policją. Wiem, że jesteście ludźmi, którzy mają otwartą głowę do interesów i przybyłem tu na wyspę, aby... zaproponować wam coś korzystnego.

— Kłamiesz! — ryknął Blackwell. — Po co w takim razie skrupowałeś „Łysego“?

— Nie miałem do niego zaufania. Myślałem, że jest z policji i unieszkodliwiłem go na jakiś czas.

— Mnie nie oszukasz! Chciałeś mnie przecieżyć zabić! Nie postępuję się w ten sposób kiedy przybywa się z interesem Uprzedzam cię... liczę do trzech i jeżeli nie odpowiesz jak się nazywasz i w jakim celu przedostałeś się na wyspę, zastrzelę cię, jak wściekłego psa!

— Raz! Dwa! Trzy!... — liczył pirat i wściekły rzucił broń na stół.

Detektyw nie drgnął nawet, utkwivszy pogardliwe spojrzenie w bandycie. Wiedział, że nie pozbędzie się go w ten sposób.

— Namyśliłem się! — zawołał Blackwell. — Ten rodzaj śmierci byłby za szybki i za łagodny. Musimy ci dać nauczkę. Słuchajcie, towarzysze. Mam dla was propozycję.

— Cisza! Cisza!... Herszt chce mówić! — rozległ się głos. Piraci Tamizy poczęli tłoczyć się do stołu.

— Ten szpicel chciał nas zdradzić! — zaczął Blackwell. — Ale my będziemy tak wspaniałomyślni i szlachetni że puścimy go wolno. Ale, — dodał z okrutnym uśmiechem — musimy mu wybić na przyszłość z głowy, chęć ponowienia odwiedzin. Ukarze go nasza mała igielka! Zapomni na zawsze o swojej nocnej eskapadzie. Później odstawimy go do Londynu i na piersi wypalimy mu gorącym żelazem jakie ostrzeżenie: „Oto jaki los czeka wszystkich policyjnych szpiegów“.

Słowa herszta wywołały powszechny entuzjazm.

— Niech żyje Blackwell! Niech żyje herszt! Igła dla szpicla!

— Przywiążcie go do krzesła! — rozkazał Blackwell.

Dziesięciu bandytów rzuciło się na detektywa, który nie opierał im się wcale, oszczędzając siły na później.

Na razie nie było żadnej możliwości ucieczki. Oczy wszystkich obecnych utkwione były w niego. Każdy jego ruch był pilnie strzeżony.

— Smutny koniec! — pomyślał Harry Dickson. — Umieram na posterunku... Chciałem uwolnić ludność Londynu od tych przestępców, ale tym razem... przegrałem!

Tymczasem jeden z piratów postawił na stole małe naczynie wypełnione płonącym spirytem. „Łysy“ przyniósł pudełko i otworzył je przed oczami detektywa. Zawartość jego stanowiły igły najrozmaitszych wielkości. Wszystkie były bardzo cienkie i wyostrzone.

— Do roboty towarzysze! Rozpalcie igły do białości... ja sam się nim zajmę! Koniec z tobą, szpiegu! Za dwie minuty nie będziesz już człowiekiem, ale bydłem, które potrafi tylko chodzić na czterech łapach i wydawać nieartykułowane dźwięki.

— A ty będziesz za to wisiał! — odpowiedział detektyw pewnym głosem, utkwivszy w bandycie spojrzenie pełne nienawiści. — A kiedy będziesz miał stryczek na szyi, pomyśl o mnie!

„Łysy“ obracał igłę przez kilka minut nad błękitnym płomieniem.

— Rozgrzała się do białości... — rzekł wreszcie.

— Teraz, kapitanie. wbij ją w czaszkę.

Szybkim ruchem Blackwell pochwycił igłę. Lewą ręką ujął detektywa za kark, zmuszając go do nachylenia głowy.

Harry Dickson zacisnął zęby.

★

W powietrzu uniósł się zapach spalenizny.

Czerwona igła znalazła się w bezpośrednim kontakcie z włosami detektywa. Nastąpiło ukłucie... Harry Dickson zamknął oczy... igła powoli przebiła skórę.

— Zaczekaj! Blackwell — krzyknął nagle jakiś kobiecy głos — nie zabijaj go... W każdym razie nie teraz. To Harry Dickson, detektyw!

Uwięziony

Blackwell cofnął igłę.

Harry Dickson podniósł głowę i spojrzenie jego spotkało się z błyszczącym wzrokiem młodej, niezwykle pięknej kobiety.

— „Czarna Mańka“ — pomyślał. — Więc ona także należy do bandy? To mi daje pewne szanse... narazie nie mam się czego obawiać.

Oświadczenie dziewczyny wywołało niesłychane zdumienie wśród „Piratów Tamizy“ Blackwell krzyknął głośno z radości i zatarł ręce.

— Czy jesteś tego pewna, Mańka? Ten człowiek przywiązany do krzesła, oddany na naszą łaskę i nielaskę, to pogromca naszych przyjaciół. detektyw Harry Dickson? Czy aby się nie mylisz? Skąd znasz tego człowieka?

— Czy ja go znam? — zawołała dziewczyna utkwivszy w więźniu pałające nienawiścią spojrzenie. — On przecież posłał na szubienicę mego ojca, znanego w całym Londynie jako „Króla Ognia!“ Na dzień przed egzekucją pozwolono mi go odwiedzić. Kiedy ucałował mnie w celi po raz ostatni, szepnął mi do ucha:

— „Córko moja najukochańsza, nie zostawiam ci w spadku, jedynie moje przeklęte nazwisko i ten sznur, na którym zawisnę i który kat ci podaruje! Zostawię ci inne dziedzictwo. Pamiętaj o zemście. Pomścij moją śmierć na Harry Dicksonie!“

— Jeżeli jest tak, jak mówisz, — powiedział Blackwell, to pozwól mi dokończyć mojej pracy. Czyż można się lepiej zemścić, czyniąc z człowieka idiotę?

— Czy nie zdążymy tego zrobić później? — przerwała podniecona kobieta. Czy ojca mego od razu skazano na śmierć po aresztowaniu? Nie! Trzymano go w więzieniu przeszło rok i poddawano najgorszym torturom. Męczono go badaniami, pytaniami, sędzią śledczym, a w celi traktowano jak psa! Teraz on musi to samo wycierpieć! Jeżeli kochasz mnie, Blackwell, jeżeli potrafisz ocenić usługi jakie ci oddawałam, sprowadzając ludzi na wyspę, zrób mi prezent z tego człowieka! Przez rok cały Harry Dickson doświadczy tego samego, co niegdyś mój ojciec!

— Doskonale! — pomyślał detektyw, — jej nienawiść daje mi szanse ocalenia. Jeżeli „Czarna Mańka“ zechce mnie przez rok cały utrzymać przy życiu, znajdę okazję, aby uciec.

Blackwell zastanowił się.

Zmarszczył brwi, wzrok utkwił w ziemię, rozumiał, że prośba dziewczyny jest nierozsądna. Ale nie potrafił się oprzeć jej uwodzicielskiemu czarowi i kiedy spojrzała na niego z pod rzes proszaco, zmiękł i pogodził się z jej kaprysem.

— No, dobrze... daruję ci tego Harry Dicksona. Rób sobie z nim, co chcesz. Ale swoją głową odpowiadasz mi, jeżeli ci ucieknie!

— Jakże to możliwe? Czy można zbiec z naszej wyspy?

— Jeżeli mógł się zbliżyć niepostrzeżenie, to nie dowód, że uda mu się nas opuścić! — dodała, śmiejąc się. — Odwiązać go od tego krzesła i zaprowadzić do szopy! — rozkazała. — Tam przywiążemy go do łańcucha, jak psa!

Po chwili, sześciu piratów pod wodzą „Czarnej Mańki“ wyprowadziło go na dwór. Umieszczono go w budynku, oddalonego od domu o trzydzieści kroków. Sklepienie było tak niskie, że Harry Dickson, wchodząc, musiał się schylić. Był to prawdopodobnie skład skradzionych przedmiotów, gdyż cała jego przestrzeń wypełniały porozrzucane skrzynie, worki i pakunki najrozmaitszych form i kształtów.

CUDA I TAJEMNICE CZARNEJ I BIAŁEJ MAGJI

każdy, kto chce wzbudzić sobą zainteresowanie w towarzystwie, może łatwo to uzyskać po przestudiowaniu naszego kursu magji, co jest obecnie dostępne dla wszystkich. Zbiór najciekawszych sztuk z zakresu mechaniki i zręczności. Lustro magiczne, latający zegar. Tańczące jabłko. List w jajku. Jajo w butelce. Śpiewająca faszka. Sztuki z rachunkami, z kartami, z zakresu akustyki, optyki, pirotechniki. Gwarancja wyuczenia wszystkich sekretów zapewniona. Wysyłamy 8 tomów z 478 sekretami i tajemnicami z pięknymi ilustracjami za zł. 3.95. Wysyłamy na listowne zamówienie, które płaci się przy odbiorze. Adresuj: Kazimierz Kołodziejczyk, Warszawa I Pl. Napoleona skr. poczt 802 H.D.



NIE ZWLEKAJ

SZYBKO ZAMAWIAJ!

UWAGA: Bezplatnie dodajemy najnowsza wszechswiatowa ksiazka p. t. „Sztuka wrózenia z kart i rak” według słynnej wróżki Napoleona I. P. Lenormand.

W kacie znajdowało się nieco wolnego miejsca. Tam zaprowadzono detektywa i przywiązano mu do kostki u prawej nogi gruby żelazny łańcuch. Dla pewności zamknięto go na kłódkę.

„Czarna Mańka” w wysoko podniesionej ręce trzymała latarnię i oświetlała szopę, przyglądając się z satysfakcją delikwentowi i obrzucając go stekiem najordynarniejszych wyzwisk.

Detektyw odetchnął głęboko kiedy wyniosła się wreszcie razem z kompanami, zamykając za sobą starannie drzwi z zewnątrz. Harry Dickson usiadł na ziemi, oparł plecy o ścianę i zaczął chłodno obliczać szanse ocalenia. Niestety, doszedł do wniosku, że są one minimalne.

Deska ratunku

Harry Dickson oczekiwał z niecierpliwością wscodu słońca. Przy świetle dziennym mógłby bowiem rozejrzeć się dopiero w otoczeniu.

Promień słońca przedarł się przez wysokie okratowane okienko i rozjaśnił wnętrze. Przypuszczenia detektywa okazały się słuszne. Szopa służyła za skład łupów, to też cała zarzucona była najrozmaitszymi gratami. Jedna ze skrzyń, znajdująca się w odległości dwu metrów od detektywa, zwróciła jego uwagę. Musiała być niedawno przyniesiona, gdyż nic na jej wierzchu nie leżało.

Detektyw zbliżył się do niej na tyle, ile mu długość łańcuchów pozwalała. Odczytał uważnie napis:

— „Morhat i Sp.“... — szepnął. — Przecież to wielka fabryka narzędzi żelaznych. Nieraz już zaopatrywałem się u nich w moje najlepsze stalowe wytrychy! Mój Boże, gdyby tak udało mi się otworzyć skrzynię! Znalazłbym może jakiś odpowiedni przedmiot... a wtedy...

Schwycił skrzynię w obie ręce i potrząsnął nią energicznie. Usłyszał metaliczny dźwięk. Niestety nie można było, nawet marzyć o otwarciu jej. Była hermetycznie zamknięta a ściany jej zbite z solidnych desek.

Więziem przemierzał krokami wnętrze szopy i rozglądał się dokoła uważnie.

— Może któryś bandyta zostawił siekiere przez zapomnienie?...

Ale po krótkiej chwili przekonał się, że byli na to za sprytni.

Okazało się jednak, że poszukiwania dały

wreszcie konkretny rezultat w postaci wielkiego, zardzewiałego gwoźdźca leżącego na ziemi.

— Lepsze to, niż nic — pomyślał Dickson, nachylając się, aby go podnieść.

Zaczął gwoździem wiercić w skrzyni otwór. Zaledwie rozpoczął pracę, usłyszał szelest kroków. „Czarna Mańka” zjawiła się na progu.

— Przyniosłam ci jedzenie! — zawołała i jak na pośmiewisko, rzuciła mu pod nogi kilka kości.

— Dziękuję bardzo — odparł spokojnie detektyw, nie jest to wprawdzie wyszukana strawa, ale być może będę z niej miał pożytek.

„Czarna Mańka” odwróciła się z pogardą i wyszła, zamykając drzwi na klucz. Detektyw znów zabrał się do roboty. Zardzewiały gwoździec okazał się z czarodziejskim narzędziem i otwór w skrzyni coraz bardziej się powiększał.

Około południa mógł już przecisnąć dwa palce, a o zachodzie słońca z łatwością wsunął do wnętrza rękę. Dotknął jakiegoś metalowego przedmiotu. Pochwycił go i wyciągnął na zewnątrz. Z trudem powstrzymał radosny okrzyk, który cisnął się mu na wargi.

Obcęgi? Co za szczęście, obcęgi! To cudowne narzędzie pozwoli mi się uwolnić od łańcucha, którym mnie skrepowano.

Detektyw nie tracił czasu. Zacisnął obcęgi na jednym z ogniw tuż w pobliżu kostki swojej nogi, zacisnął ręce z całej siły i... Rozległ się suchy szczęk, łańcuch został złamany.

— Wolny! — szepnął uszczęśliwiony detektyw. — Nareszcie wolny... Dałem się schwytać jak zwierzę do klatki. Ale teraz ci hultaje nie złapią mnie tak prędko w swoje szpony.

W pewnej chwili podniósł z ziemi kawałek sznurka i dla pozorów przywiązał nim z powrotem łańcuch do nogi. Następnie przyjrzał się jednej z kości, które przyniosła mu „Czarna Mańka”.

Była to wielka wołowa kość, która mogła w razie potrzeby posłużyć za maczugę.

— Mam także broń! — pomyślał detektyw. — Przyda mi się.

Przed wieczorem znów usłyszał kroki. Skulił się w kacie z maczugą w ręku...

„Czarna Mańka” przyszła nacieszyć swój wzrok widokiem ofiary. Weszła, zamknęła za sobą drzwi i powoli zbliżyła się do więźnia. Zatrzymała się w niewielkiej od niego odległości.

— Słuchaj, Dickson, sławny detektywie! Przy byłam oznajmić ci przyjemną nowinę. Tej nocy Blackwell wypali ci oczy!...

W tym momencie kobieta krzyknęła z przerażenia i rzuciła się ku wyjściu. Detektyw jednym susem dopadł do niej, zrywając sznurek z łańcucha. Trzeba było za wszelką cenę zatrzymać ją zanim dostanie się do drzwi.

Detektyw podniósł w górę kość i z całej siły uderzył dziewczynę w głowę. Cios był tak silny, że „Czarna Mańka” padła na ziemię nieprzytomna.

— W chwilę później detektyw klęknął obok niej i zebrawszy z ziemi wielką garść słomy, wtłoczył ją w usta, zamiast knebla. Z kolei wyjął sznurówka z jej własnego staniczka i skrepował jej ręce i nogi.

Teraz należało się przebrać!

Nie zwracając uwagi na wściekłe spojrzenia dziewczyny, detektyw ściągnął z niej zręcznie bluzkę i spódnice. Aby trudniej go było poznać narzucił na głowę kolorową chusteczkę. W tym stro-

ju wyszedł z szopy, zamykając starannie za sobą drzwi. Trzeba było teraz przedostać się nieopstrzeżenie nad rzekę i wsiaść do jednej ze znajdujących się tam łódek.

Nie zastanawiając się nad niczym, detektyw ruszył naprzód. Droga prowadziła obok wielkiego domu. W jednym z okien ukazał się Blackwell.

— Hallo, Mańka, chodźno tutaj! — zawołał. — Złożyłaś wizytę więźniowi?

Zamiast odpowiedzi detektyw skinął ręką, odwracając głowę. Na szczęście Blackwell nie wołał więcej. Zamknął okno a Dickson skorzystał z tego i poskoczył do łódki. W chwilę później trzymał w dłoniach wiosła.

Z radością stwierdził, że było to to samo czółno, którym przybył na wyspę z „Łysym“. Na dnie bowiem leżał zapomniany... wielki nóż.

Miał więc teraz broń! W tym momencie przyszedł mu do głowy genialny pomysł. Czternaście łódek było uwiązanych na linie do brzegu. Gdyby przeciąć sznur, wszystkie zniesione zostałyby przez prąd do morza... „Piraci Tamizy“ byłiby uwięzieni na wyspie.

Czy zdołają uniknąć straszliwej zemsty Harry Dicksona?

Ryzykując życiem, detektyw stracił kilka drogocennych minut na wykonanie swego planu. Następnie ujawszy wiosła, wypłynął bez szmeru na rzekę. Szalona radość wypełniła jego serce na widok oddalających się z prądem czółen...

— Teraz są w matni! — zawołał, śmiejąc się głośno.

Ani jeden z „Piratów Tamizy“ nie umknie w tych warunkach. — Teraz, Blackwell, wyrównamy nasze rachunki.

Diabelska Wyspa

— Mr. Tom depsza dla pana! Wybiła północ, kiedy Mrs. Crown weszła z depezą do gabinetu detektywa, w którym Tom Wills pracował jeszcze, mimo spóźnionej pory.

Młodzieniec zaniepokojony, otworzył telegram.

— Z Londynu? Hm... ciekaw jestem o co chodzi.

Po zapoznaniu się z treścią przebrał się szybko. W postrzępionym odzieniu kolorowym szalik na szyi podartych butach opuścił w pośpiechu dom i skierował się na Deptford-Street, stosownie do polecenia Harry Dicksona.

Ulice były prawie puste, przechodnie nieliczni, zwłaszcza w dzielnicy portowej.

Po półgodzinnym marszu młody człowiek przybył do celu. Należało teraz odszukać dom, oznaczony trzema krzyżami. Przy pomocy kieszonkowej latarki, Tom oglądał mury wszystkich po kolei domów, najpierw po jednej, a potem po drugiej stronie ulicy. Szczęście mu dopisało. Nie trwało nawet pięciu minut, a ujrzał na jednej z bram trzy czerwone krzyże, nakreślone ołówkiem. Cofnął się teraz na drugą stronę ulicy i ukrywając się w sąsiedniej bramie, stanął na straży.

— Ciekaw jestem, czego do licha mój mistrz szuka w tym domu? — zamyślił się Wills. — Wygląda na zupełnie niezamieszkały. Mistrz musiał mieć z pewnością uzasadniony powód, jeśli mnie tu przysłał.

I zadowolony z tym tłumaczeniem, młodzieniec przywykły do słuchania rozkazów detektywa na ślepo, postanowił czekać aż do otrzymania dalszych instrukcji.

— Noc minęła... — pomyślał Tom, mierząc tam i z powrotem pustą ulicę. Może mistrz ukaże się wreszcie. Ale czas uciekał a Harry Dickson nie dawał znaku życia o sobie. Tom Wills począł się niepokoić.

— Ta dzielnica jest mocno podejrzana... Mistrzowi mogło zdarzyć się nieszczęście.

Młodzieniec postanowił zmienić posterunek.

— Wejść do tego domu... Może Mr. Dickson zostawił tam dla mnie polecenie. Jeżeli nic nie znajdę, wrócę do domu. Mistrz zmienił prawdopodobnie plany.

Tom Wills nie zastanawiając się dłużej, przedostał się do bramy i otworzył ją ostrożnie. Z rewolwerem w ręku wspiał się po schodach na pierwsze piętro, gdzie znalazł szereg zupełnie pustych pokoi.

Od czasu do czasu naśladował gruchanie gołębia, umówiony z mistrzem sygnał, ale nie usłyszał żadnej odpowiedzi.

Tom doszedł do wniosku, że nie ma tu na co czekać. Był głodny i niewyspany, postanowił przeto wracać na Bakerstreet.

Przybywszy na miejsce, zapytał gospodynię o wiadomości od szefa.

Mrs. Crown potrząsnęła przecząco głową i zawołała ze złością:

— Gdyby nie moja cierpliwość, nie wytrzymałabym tu dłużej. Boże... co za porządek. Mr. Dickson jeszcze nie powrócił. Pan wygląda, jakby wstał z grobu Proszę przynajmniej pokrzepić się śniadaniem.

— Co się mogło stać mistrzowi? — zastanawiał się Tom, łapczywie pochłaniając śniadanie.

— Może wpadł w pułapkę i znajduje się w niebezpieczeństwie, podczas gdy ja uczuję przy stole. Czy nie należałoby zawiadomić policji? Ale to absurd! Na razie nie pozostaje mi nic innego, jak cierpliwie czekać.

W ciągu dnia Tom był trzy razy w tajemniczym domu, ale nie znalazł nic ciekawego. Po zapadnięciu nocy udał się znów na swe stanowisko.

Nawiedzały go najrozmaitsze przypuszczenia.

— Zauważyłem wczoraj, że okna tego domu wychodzą nad Tamizę. A może mistrz wychylił się przez parapet i wpadł do rzeki?

Zaniepokojony tą myślą, Tom znów przedostał się do wnętrza pustego budynku. Wszędzie było pusto. Młodzieniec zbliżył się do okna i zaczął przyglądać się uważnie parapetowi. Powierzchnia jego pokryta była grubą warstwą kurzu, na której odbijały się wyraźnie ślady. Odcisk miał kształt długich szczupłych palców. Nie było żadnej wątpliwości. Były to ślady Harry Dicksona.

— Mistrz przedostawał się tędy... Ale dokąd? Nie popełnił chyba samobójstwa... To niemożliwe... Czyżby rzucił się do wody, aby pływać?...

Na tym urwały się jego rozmyślenia. Nagle chwycił go ktoś z tyłu za kark, dwie ręce zacisnęły się jak pętle na jego szyi.

— Mamy jeszcze jednego! — zawołał ochryply głos. — I tego szpiega trzeba będzie odtransportować na tamten świat. Przysięgnę, że jesteś na usługach tego psa Harry Dicksona! — dodał napastnik.

Serce zamarło w piersi Toma Willsa. Zrozumiał, że jego mistrz padł ofiarą zbrodniczego na-

padu. Dwie gorzkie łzy spłynęły mu po policzkach.

— Czemu nie odpowiadasz, kanaliu! Patsy, przyciśnij mu nóż do gardła, może to rozwiąże mu język!

— Po co tyle fatygi, — odpowiedział drugi. — Najlepiej wrzucimy go do wody.

— Masz rację, chłopie! — ryknął bandyta, popychając Toma w stronę okna.

Młodzieniec spojrział na niebo, pokryte milionem gwiazd. Po raz ostatni je oglądał;

— Uwaga, Patsy! Jesteś tam?... Pomóż mi... Raz! Dwa.... i

— Trzy! — zawołał nagle jakiś obcy głos, a jednocześnie huknęły dwa strzały. Patsy padł na ziemię. Jedna kula wybiła mu oko i rozwaliła czaszkę. Druga utkwiała w gardle jego towarzysza.

Na parapecie okna ukazał się jakiś człowiek. Był to... Harry Dickson. Zdażył jeszcze ująć w ramiona swego zemdlonego ucznia.

— Uspokój się, chłopcze! Uspokój się, mój drogi! Wszystko układa się jak najlepiej... Nie ma powodu do obaw.

— To pan, Mr. Dickson!.. — uśmiechnął się Tom, — wracając do przytomności. Niebo pana zesłało! Skąd pan wraca?

— Skąd?

— Wyobraź sobie, mój mały, że z wyspy „Piratów Tamizy“... Mam ich teraz wszystkich w garści!

★

Zapadła noc. Na falach Tamizy posuwała się w stronę „Wyspy Piratów“ mała flotylla motorówek. W łodzi posuwającej się na czele flotylli znadawali się: Harry Dickson, jego uczeń Tom Wills i kapitan policji Tonardy. W dalszych ośmiu łodziach pełno było policjantów i detektywów.

Kapitan Tonardy czuwał na dziobie łodzi z bronią gotową do strzału. Również Harry Dickson i Wills trzymali w ręku nabite rewolwery. Wśród ciszy nocnej rozlegał się tylko miarowy turkot motorów. Na łodziach panowało zupełne milczenie. Policjanci byli wciąż w pogotowiu. Wiedzieli, że zlikwidowanie groźnej bandy Blackwella nie należy do łatwych zadań.

— Czy wydał pan rozkazy, kapitanie? — zapytał Harry Dickson.

— Tak jest. Weźmiemy wyspę szturmem. Wątpię, czy bandyci zechcą poddać się bez walki.

— Będziemy mieli nielada zadanie do wykonania... — mruknął detektyw. — Blackwell to jeden z najgroźniejszych łotrów, z jakimi spotkałem się w życiu...

Posuwano się dalej w milczeniu. Wreszcie przed flotyllą zamajaczyły w mroku ponure kontury „Wyspy Piratów“. Wszyscy wyteżyli czujność, by nie dać się zaskoczyć przez nieprzyjaciela.

Nagle od strony wyspy rozległ się straszliwy huk, czerwone błyskawice rozświetliły mrok i na policjantów spadł grad kul. Bandyci nie mogli jednak strzelać celnie z powodu ciemności i kule nie uczyniły nikomu krzywdy.

Policjanci odpowiedzieli strzałami na salwę piratów. Kule padały gęsto z obu stron, huk strzelaniny rozdzierał ciszę nocną. Pociski bandytów padały z pluskiem w wodę i uderzały głucho o burty łodzi.

— Naprzód przyjaciele! — zawołał Harry Dickson. — Musimy wylądować za wszelką cenę!..

Motory zaczęły pracować ze zdwojoną energią i łodzie pomknęły jak strzały. Bandyci, widząc to, zdwoili szybkość kanonady, ale nie powstrzymało to dzielnych policjantów. Wśród gradu kul łodzie przybiły wreszcie do brzegu.

Harry Dickson pierwszy dotknął nogami ziemi.

— Trzymaj się mnie blisko — zawołał do Toma Willsa. — Mamy do czynienia z niebezpiecznym przeciwnikiem. Broń trzymaj w pogotowiu i przygotuj zapasowy magazyn.

— Chłopcy, — zawołał kapitan Tonardy do swoich policjantów. — Naprzód bez pardonu, za wszelką cenę. Atakujemy dom!

Trzydziestu policjantów z siekierami i rewolwerami w ręku rzuciło się w stronę drzwi, ale w tej samej chwili otworzyły się one szeroko i wypadła z nich banda piratów, ostrzeliwując się zaciekle.

Policjanci nie pozostali dłużni. Celny strzał Harry Dicksona powalił na ziemię Łysego, który pędził w jego stronę z nożem w ręku. Oczy detektywa szukały jednak innego przeciwnika. Dickson pragnął za wszelką cenę rozprawić się z Blackwellem.

Tymczasem bandyci walczyli zaciekle, jak osaczone stado wilków. W pewnej chwili, gdy zrozumieli, że nie uda im się wydrzeć z rąk przeważającej liczby przeciwników, rzucili się nagle wszyscy w stronę rzeki. Na czele ich biegł jakiś człowiek, w którym Harry Dickson natychmiast poznał Blackwella.

— Do łodzi! — rozległ się rozkazujący głos bandyty.

— A to lotry! — zawołał Dickson. — Chcą umknąć w naszych łodziach. Nie uda im się to!

Detektyw rzucił się w ślad za bandytami i po chwili dopadł Blackwella. Obaj mężczyźni zwarli się w zacieklej walce nad samym brzegiem rzeki. Harry Dickson opasał przeciwnika swymi stalowymi ramionami, uniemożliwiając mu wszelki ruch. Bandyta wiedział jednak, że w razie ujęcia go żywcem, nie uniknie on szubienicy i dlatego usiłował za wszelką cenę wyrwać się z rąk detektywa.

— Nie umrę sam... — zawołał z wściekłością. — Będziesz mi towarzyszył do piekła.

Nadludzkiem wysiłkiem wyrwał się z ramion Dicksona i pociągając go z sobą, rzucił się w fale Tamizy. Obaj zniknęli na chwilę w wodzie, lecz po chwili głowy ich ukazały się na powierzchni.

Rozpoczęła się straszliwa walka w wodzie. Bandyta nie myślał już o ratowaniu życia, pragnął tylko za wszelką cenę, aby Harry Dickson podzielił jego los. Udało mu się w pewnej chwili chwycić detektywa za gardło i pociągnąć ze sobą w odmęty. Na chwilę obaj znów zniknęli w wodzie i tylko bańki powietrzne, ukazujące się na powierzchni świadczyły o straszliwej walce, toczącej się pod wodą.

Wreszcie detektyw wynurzył się na powierzchnię, a w chwilę potem ukazała się obok niego głowa bandyty. Blackwell po raz drugi usiłował chwycić Harry Dicksona na gardło, ale w tej samej chwili huknął strzał i bandyta zniknął pod wodą. Na brzegu stał Tom Wille z dymiącym jeszcze rewolwerem w dłoni.

Tymczasem policjanci rozprawiali się z resztą piratów. Ci z pośród bandytów, którym udało się dotrzeć do łodzi zostali powystrzelani przez

policjantów, ci zaś, którzy pozostali na brzegu, bronili się zaciekle, aż w końcu zostali zmuszeni do poddania się.

Groźna banda piratów, postrach Londynu, przestała istnieć.

Złoczyńcy, którzy dostali się w ręce policji, zostali skazani na dożywotnie więzienie. „Czarna Mańka“ dostała się na dwadzieścia pięć lat do domu poprawy.

W jakiś czas potem Evelina Blunt przybyła w towarzystwie Harry Dicksona do swego męża, do szpitala „Betlem“. Lekarz pocieszył ją, że

stan jego polepsza się z dnia na dzień i że istnieje pewność zupełnego powrotu do zdrowia.

— Zawdzięczam panu wszystko, Mr. Dickson... — szepnęła młoda kobieta z uniesieniem, ściskając serdecznie dłoń swego dobroczyńcy.

— Nie tylko ja, ale cały Londyn zawdzięcza pani bardzo wiele — odparł z uśmiechem detektyw. Gdyby nie pani wskazówki nigdy nie wpadlibyśmy na ślad bandy „Piratów Tamizy“, która może nadal kontynuowałaby swą zbrodniczą działalność. Nie pani mnie, ale ja pani winien jestem wdzięczność.

K o n i e c .

Następny **Nr. 21 Harry Dicksona**, który ukaże się we wtorek, dnia 31-go maja zawierać będzie przygodę p. t.

„Tajemnica łodzi podwodnej“

CENA 10 GR.

CENA 10 GR.



HARRY DICKSON

PRZYGODY ZAGADKOWEGO CZŁOWIEKA

Nie ma Amerykanina, Anglika czy Francuza, któryby nie słyszał wiele o Harry Dicksonie. A jednak trudno znaleźć na obu półkulach człowieka, który może powiedzieć, że widział kiedykolwiek Dicksona w rzeczywistej jego postaci. I właśnie w tej jego zdolności **przeistaczania się**, w niezrównanej jego sztuce **przebierania się**, nadawania sobie coraz innego wyglądu, w nieporównanej władzy, jaką ma nad swoją **twarzą**, swym **głosem**, a nawet swym **wzrostem**, — tkwi widocznie **tajemnica niebywałych jego sukcesów w walce ze światem przestępczym**.

Harry Dickson walczy **ze zbrodnią, przemocą, nikczemnością i obłądą bez żadnego kompromisu, broniąc zawsze wszystkiego, co dobre, szlachetne i sprawiedliwe**.

Harry Dickson odznacza się **nieustraszoną odwagą**, jego **oko** przenika to, co jest najskrytszego, **ruchliwość jego umysłu** pozwala mu się wywikłać z najniebezpieczniejszej sytuacji, **spryt jego kombinacji** rozwiązuje najtrudniejsze zagadki kryminalne, a jego **żelazna energia i znajomość psychiki ludzkiej** prowadzą go zawsze do pożądanego celu.

Dotychczas ukazały się w sprzedaży następujące numery:

- | | |
|------------------------------------|---------------------------|
| 1. „WYSPA GROZY“ | 10. „TAJEMNICZY TRYBUNAŁ“ |
| 2. „TAJEMNICA EGZOTYCZNEGO WŁADCY“ | 11. „KORONKI KRÓLOWEJ“ |
| 3. „ALARM W PRZESTWORZACH“ | 12. „KAPIANKA OGNIĄ“ |
| 4. „DOM NA MOCZARACH“ | 13. DOM, W KTÓRYM STRASZY |
| 5. „LUDZIE BEZ ADRESU“ | 14. ŻYJĄCY BUDDA |
| 6. „SZALONY BURMISTRZ“ | 15. WIDMO TUŁACZA |
| 7. „GRAJĄCA WIEŻA“ | 16. SKRADZIONY TESTAMENT |
| 8. „KRÓL NOCY“ | 17. DUCH ŚWIATŁA |
| 9. „POSEPNA KABAŁA“ | 18. CZERWONA DAMA |
| | 19. MIASTO PIRATÓW |

Czytajcie

Czytajcie

PRZYGODY HARRY DICKSONA

Cena

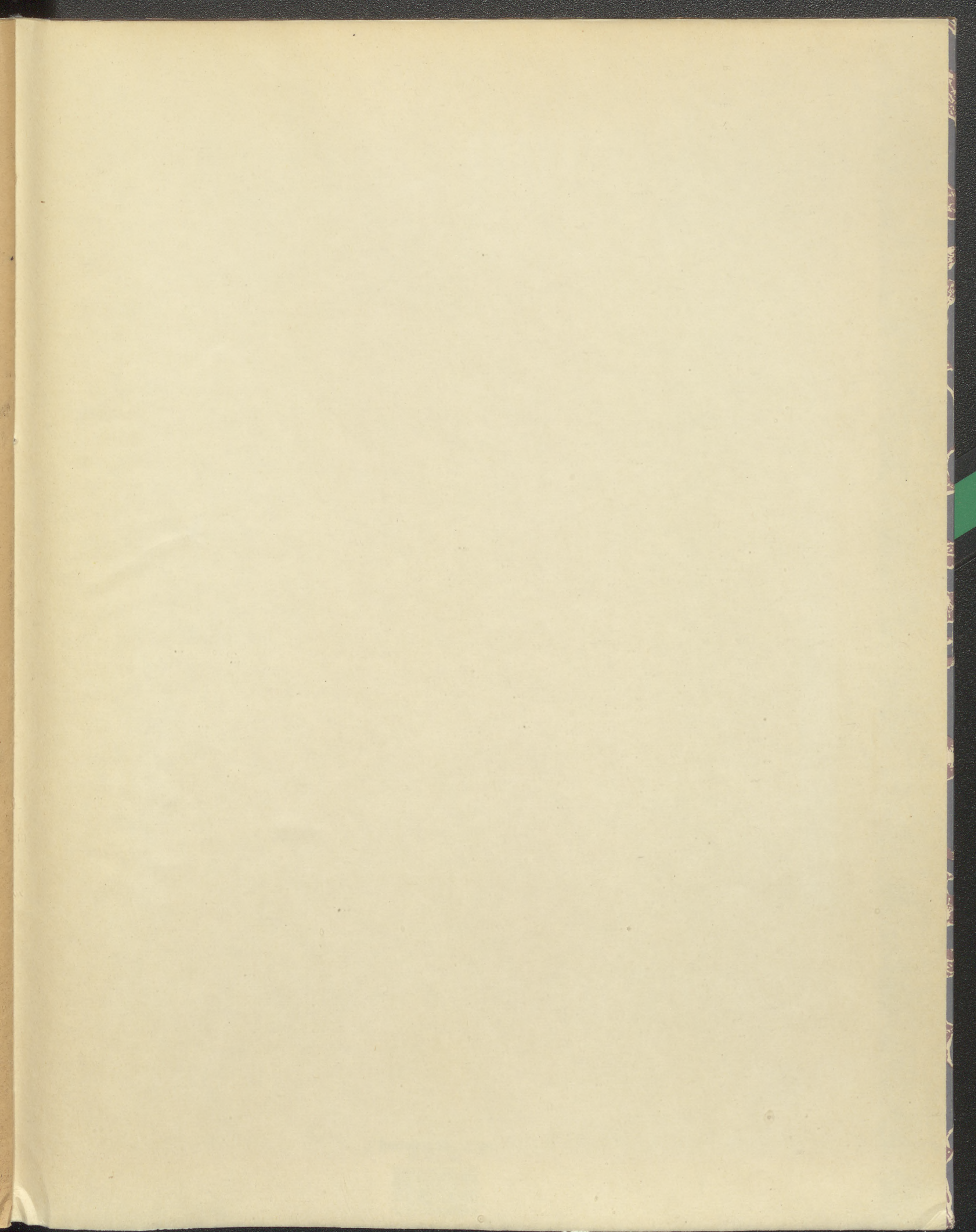
10 gr.

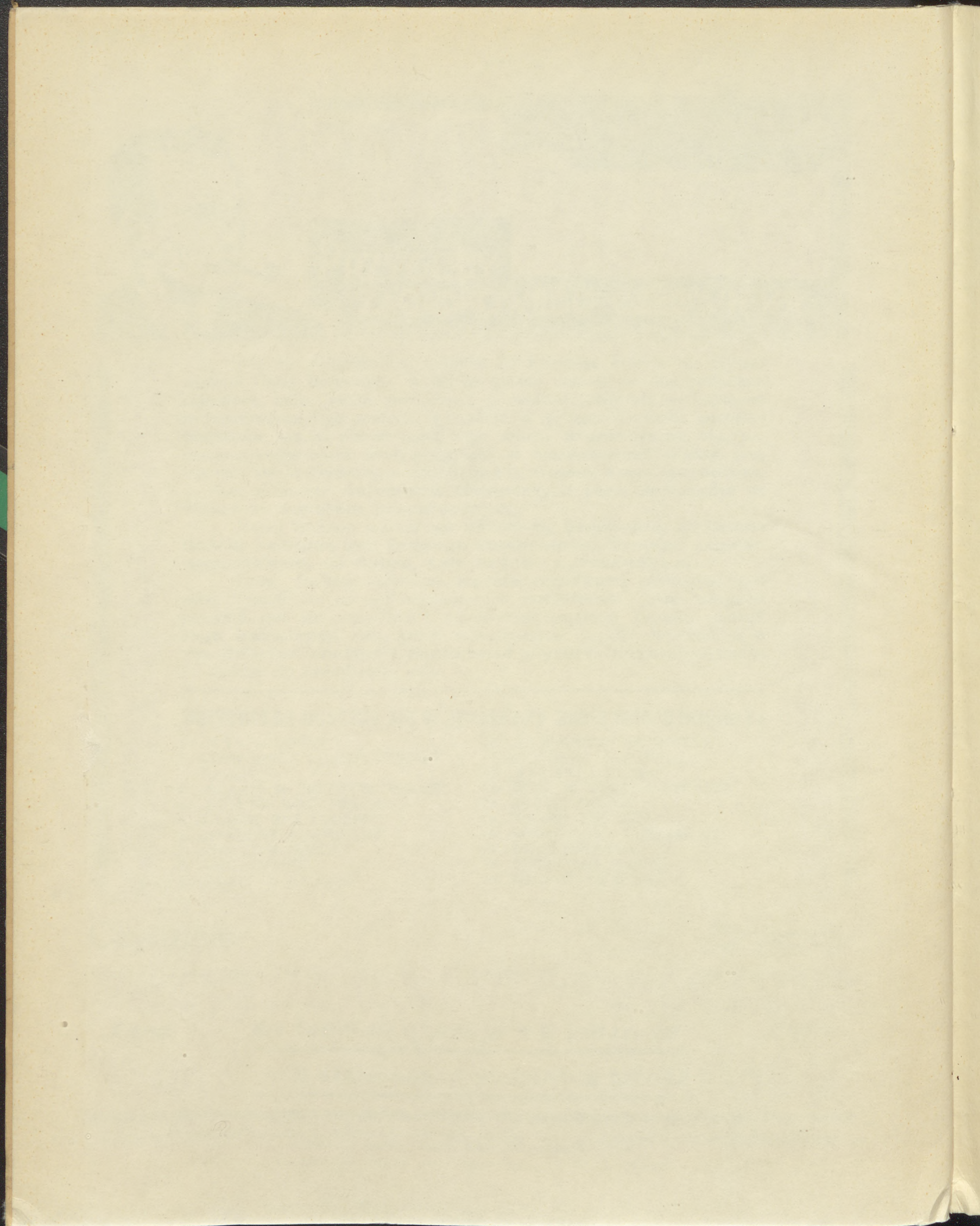
Co tydzień ukazuje się jeden ze-

szyt, stanowiący oddzielną całość

Cena

10 gr.





Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001024365954



623405

2dj

20

BN

BN

BN

BN

BN

BN

BN

BN

BN

BN